



Quo?

VADIS

2016. No. 44.



Posąg patrona katedry św. Marcina w Bratysławie

KOCHANI CZYTELNICY!

Jest dla nas wielką radością, że bierzecie do ręki kolejny numer naszego „*Quo vadis*”. Dzięki Bożej Opatrzności i pomocy ludzi dobrej woli możemy realizować nasze wydawnicze cele, a są nimi propagowanie tego co z „*ducha*” i polskiego serca wypływa.

Kolejny już raz dostrzegamy otwartość ludzkich serc na dzielenie się tym co dobre i szlachetne. Wielu z nas ma potrzebę i pragnienie dołożenia swojej cegiełki dobra do gmachu wzajemnej ludzkiej miłości, który się wznosi dzięki Bożej inspiracji. Przy spotkaniach w różnych gremiach, tych oficjalnych i tych spontanicznych, da się zauważyć tak wiele nieudawanej życzliwości i bezinteresownej pomocy. Warto o tym mówić i to przedstawiać, aby przezwyciężyć ogarniające nas zniechęcenie czy wręcz złość, bo ludzie wokół jacyś źli. Więcej wokół jest dobra, ale zło bardziej doskwiera i mocno rzuca się w oczy. Swą krzykliwością i przysparzonym bólem bardziej odciska się w pamięci. Dlatego o dobru trzeba mówić i je szerzej ukazywać, nie zrażając się nawet do tego, że można być posądzanym o chwalenie się czy brak powściągliwości. Jesteśmy teraz na takim etapie walki o dobro w przestrzeni ludzkiego wnętrza, kultury, ekonomii czy życia społecznego, że mówienie o dobru jest koniecznością. Przedstawianie działającego się dobra wokoło nas jest powinnością dla przywrócenia właściwych proporcji w otaczającym nas świecie i równowagi w relacjach między ludźmi.

Kochani, zbliżające się Święta Bożego Narodzenia są najwłaściwszym okresem, aby mówić o dobru niestrudzenie, bo Bóg tym dobrem nas wszystkich niestrudzenie obdarowuje. Dlatego, życzymy Wam Kochani, abyście otrzymali wiele dobra od innych i sami to dobro potrafili dawać na wzór Nowonarodzonego Dziecięcia, które jest Samym Dobrem.

Mamy również nadzieję, że poniższe karty naszego „*Quo vadis*” przyczynią się do odkrywania głębszych pokładów dobra we wzajemnych relacjach i obszarach, w których ich nie dostrzegaliśmy.



Ks. Krzysztof Grzelak TChr

WYKONAWCY KONCERTU „WIARA I RODZINA”



Wykonawcy koncertu „Wiara i rodzina”

Fot.: Barbara Pál

W programie tegorocznych *Dni Polskiej Kultury Chrześcijańskiej* odbył się koncert „Wiara i rodzina”, a wykonawcami byli Tomasz Budzyński i Angelika Korszynska-Górny. Poniżej pragnę Państwu przybliżyć obu wykonawców.

Tomasz Budzyński jest muzykiem, poetą i malarzem. Jego historia jest to ciekawa podróż poprzez życiowe zakręty.

„Przez wiele lat karmiłem się różnymi rzeczami, gnozą, buddyzmem, Zen – to mnie fascynowało. Ale to nie dawało mi życia. Wciąż byłem nieszczęśliwy. To Chrystus dał mi życie, wygnał ze mnie demona, uzdrowił mnie i wskrzesił do prawdziwego życia - doświadczyłem tego, widziałem to wszystko, widziałem, jak uwolnił moją żonę. Czy musiałem się jakoś natrudzić? Nie, to wszystko dostałem za darmo! Nikt mi tego nie zabierze, nie wydrze, bo widziałem to na własne oczy i dlatego mogę o tym teraz mówić. Dlatego opowiadam dzisiaj o miłości.” (Cytat z jego książki „Miłość”).

T. Budzyński występuje między innymi w zespole 2Tm2,3 gdzie grają muzykę rockową z przesłaniem chrześcijańskim. Jest to forma nowej ewangelizacji. Nazwa zespołu pochodzi od fragmentu Biblii i stanowi oznaczenie 3 wersu z 2 rozdziału drugiego listu św. Pawła do Tymoteusza. („*Bierz udział w trudach i przeciwnościach jako dobry żołnierz Chrystusa Jezusa.*”)

„My chcemy dać człowiekowi nadzieję w tym świecie, który jest pełen zła. Wierzymy, że Bóg kocha człowieka takim jakim jest. Reszta należy do słuchaczy. Trzeba sobie bowiem uzmysłowić, że słowa tych pieśni mówią bardzo głęboką prawdę o człowieku. My przecież głównie śpiewamy psalmy, które mają to do siebie, że są bardzo egzystencjalne, czyli bliskie człowiekowi i jego życiu. Myślę, że każdy z nas może się w nich odnaleźć ze swoimi tragediami, tęsknotami, żalami. Dotyczy to też nas, wykonawców. To przecież nie jest tak, że stajemy na koncercie jak jakieś roboty i beznamytnie wykonujemy swoją pracę, my również przeżywamy... To, co robimy, nie jest jakimś misterium, tylko sztuką. Repertuar jaki wykonujemy jest jednak widocznie na tyle ciekawy, że bardzo wiele osób chce tego słuchać. Wśród słuchaczy są i starsi i młodszy. Nie ukrywam, że to nas bardzo cieszy.”

W książce „*Miłość*”, opowiada o potędze miłości, przenikającej i przemieniającej jego życie. Miłości do Natalii – swojej żony, w której od dwudziestu pięciu lat zako-

chuje się z dnia na dzień coraz mocniej. Miłości do dzieci - najpiękniejszej z życiowych doświadczeń. Miłości do Boga – fundamentu i sensu świata.

Poniżej cytujemy fragment z tej książki. Jest to wywiad przeprowadzony z Tomaszem Budzyńskim przez Tomasza Ponikło.

NATALIA I: ZAŻARŁO

Artysta na topie, płyty, koncerty, sława. I zakochanie, które w kilka miesięcy prowadzi do ślubu. Czy to było odpowiedzialne z Twojej strony? Co z karierą i planami muzycznymi?

Jestem człowiekiem nieodpowiedzialnym. Kiedy poznałem Natalię w 1991 roku, byłem wręcz skrajnie nieodpowiedzialny. Miałem dwadzieścia dziewięć lat i zachowywałem się jak liść na wietrze. Miotają mną różne uczucia, burze i wichry, aż zawiało mnie w kierunku mojej obecnej żony. Jestem też człowiekiem bardzo uczuciowym. Kiedy się zakochałem, to nie myślałem, czy to dobrze czy źle, nie kalkulowałem, czy bardziej opłaca mi się iść za uczuciami czy za karierą piosenkarza. Nigdy nie potrafiłem myśleć w takich kategoriach.

W moim życiu z uczuciami jest tak samo jak z muzyką. Dziennikarze od lat pytają mnie: „*Jak powstają wasze utwory, skąd bierzecie na nie pomysły?*” Otóż nie mamy żadnego pomysłu, po prostu gramy i albo to zażre, albo nie zażre... I koniec. Oto cała wielka tajemnica powstawania piosenek rockowych. W moim życiu ta zasada sprawdza się na każdym kroku: albo coś zażre albo nie.

Z Natalią zażarło.

I to jak, zażarło na maksa!

Po raz pierwszy?

Byłem wcześniej zakochany kilka razy. Ale jeżeli widziałem, że to tylko romans, szybko to kończyłem.

Dlaczego?

Chciałem być szczerzy wobec dziewczyn, z którymi się zadawałem. Kiedy widziałem, że dziewczyna przeze mnie płacze, nie mogłem tak cynicznie z nią pogrywać, nie mogłem postępować na zasadzie: fajnie jest mieć jakąś ładną dziewczynę; wprawdzie jej nie kocham, ale za to dobrze się prezentuje. Takie postępowanie budziło we mnie obrzydzenie, więc sam też nie chciałem zachowywać się w ten sposób. Przelotne znajomości, których miałem kilka, szybko urywałem. Cenniejsza była dla mnie w tym wszystkim prawda. A prawda była taka, że nie kochałem żadnej z tych dziewczyn. Żeby z kimś być, muszę się zakochać, a czy kocham, okazuje się bardzo szybko.

Po czym to poznać?

Jak to po czym? W nocy nie możesz spać, w dzień chodzisz jak obłąkany. Człowiek tęskni za drugą osobą, chociaż nawet za dobrze nie wie dlaczego, bo dopiero co ją poznał.

Nie rozumiem Cię. Najpierw stwierdzasz, że jesteś nieodpowiedzialny, żeby zarazem potem przyznać, że jednak w imię jakiejś odpowiedzialności zostawiałeś dziewczyny. Podejmowałeś przemyślaną decyzję, nie kierowałeś się tylko emocjami.

Ale to inna rzecz. Jeżeli widziałem, że to fatalne zauroczenie znika – dziewczyna zaczyna mnie irytować, a znaleźmy się na przykład dopiero miesiąc – to wołałem zerwać taką znajomość. A jeżeli znam kogoś od pół roku i wciąż chcę z tą osobą przebywać, to już całkiem inna sytuacja.

Wytrzymać siedem miesięcy, tak jak Ty, i można brać ślub? Ot, taka praktyczna rada?

Nikomu nie będę dawać rad praktycznych, bo to mija się z celem. Każdy przeżywa własną miłość. Każdy przeżywa ją po swojemu. Nie da się żyć cudzą miłością. Dla mnie niezwykle jest to, że trafiłem na tę osobę – właśnie tę. Wierzę, że są ludzie dla siebie stworzeni. Nie wiem, jak to działa, więc być może dla mnie na świecie stworzonych jest kilkanaście kobiet, ale to właśnie na Natalię trafiłem. Natalia jest dla mnie stworzona, to jest właśnie ta kobieta. Kiedy trafisz na taką osobę, klamka zapadła. Mnie podoba się w Natalii wszystko. Natalia nie ma żadnych wad.

Niemożliwe.

Możliwe: wszystko mi się w niej podoba.

Inne dziewczyny irytowały Cię po miesiącu, a po dwudziestu trzech latach z Natalią mówisz, że wszystko Ci w niej pasuje?

Tak, wszystko.

Nawet wtedy, kiedy Cię drażni?

Natalia mnie nie drażni. Ale jak mnie diabeł opęta, to czasem jej dokuczam. Ja jestem złym człowiekiem. Postaram się to jakoś wyjaśnić. Człowiek, którego kochasz, albo twój przyjaciel, nie irytuje cię. Możesz z nim siedzieć, leżeć, spać, być wszędzie i zawsze. A przede wszystkim możesz przy nim milczeć. W jego towarzystwie nie masz tego żenującego odruchu stukania palcami po blacie, odpływania myślami, zadręczania się niewypowiedzianym życzeniem „niech już sobie idzie”. To normalne, że czasem czujesz, jak wzbiera w tobie złość, bo musisz jeszcze z kimś wysiedzieć godzinę, a towarzystwo tej osoby cię drażni. Naprawdę nie masz ochoty się odzywać, ale robisz to, żeby kogoś nie urazić. W przyjaźni i w miłości jest inaczej. Można milczeć przez cztery godziny albo pięć. I to jest najważniejsza z rozmów. Wtedy tworzy się więź dusz. Trwa rozmowa dwóch osób, chociaż ci ludzie nic nie mówią. Kiedy przyjaciele lub małżonkowie milczą, to tak naprawdę rozmawiają. Bez miłości do drugiego człowieka jego obecność w takiej sytuacji potwornie irytuje, jesteś spocony

i psychicznie wymięty. Odkąd znam Natalię, nigdy nie przyszła mi przez głowę myśl „*idź już sobie*”. To nie znaczy, że się nie kłócimy, bo oczywiście to robimy. Ale nie odczuwam wobec Natalii żadnej irytacji.

Sam już nie wiem, jak obsadzić role: czy Natalię jako anioła, czy Ciebie jako świętego.

O nie, nie! Irytacja na drugą osobę jest czymś zupełnie innym niż gniewanie się czy złość wobec niej, które zawsze będą się w małżeństwie zdarzać. Ile razy moje poprzednie dziewczyny zaczynały mnie irytować, tyle razy zdawałem sobie sprawę, że z większością z nich nie łączyło mnie nic poza seksem. Czułem, że z żadną z tych dziewczyn nie mógłbym spędzać dni i nocy tak po prostu, a już zwłaszcza bez słów. Kiedy to do mnie docierało, jak najszybciej mówiłem: „*Rozstańmy się*”.

To może trzeba było nie zaczynać, skoro dziewczyna Cię irytowała?

Przecież nie od razu wiadomo, co będzie dalej. Ale po miesiącu wszystko już czujesz. Natalia nigdy mnie nie irytuje.

To może poślubiłeś ją dla własnej wygody – żeby nie męczyć się poczuciem irytacji?

Przed wszystkim zakochałem się i czułem się dobrze w jej towarzystwie. Tak jest do dziś. Jak jesteśmy razem – jest mi dobrze, jak nie jesteśmy razem – jest mi źle.

W jaki sposób zażarto z Natalią? Zakochanie jest próbowaniem się: zażre lub nie, jak zażre – będzie miłość, jak nie – będzie „do widzenia”?

Nie wiem, czym jest zakochanie, nikt tego nie wie. Ale na pewno zakochania mogą być różne. Jak kolory. W naszym przypadku zieleń trafiła na brąz.

Grałem z Armią koncert na dwudniowym festiwalu muzyki hardcorowej w Wągrowcu. Występowały alternatywne zespoły z całej Polski. Armia była główną atrakcją festiwalu. Ja stałem na scenie, Natalia wśród publiczności – przyjechała z załogą, która towarzyszyła poznańskiej kapeli Apatia. Kiedy skończyliśmy grać, poszliśmy nocować do zasquatowanego budynku w centrum miasta. Miałem już zasypiać, ale zachciało mi się palić. Wiedziałem, że w pokoju obok jest Dziki, nasz techniczny, postać powszechnie w tym środowisku znana. Tam też powoli szykowali się do snu. Ktoś poczęstował mnie fajkami, więc przysiadłem na chwilę na najbliższym łóżku, żeby wypalić. Dostrzegłem przelotnie, że materac zajmowała zgrabna wysoka blondynka. Zaczęliśmy rozmawiać, ale na dziewczynę w ogóle nie patrzyłem. Zauważyłem tylko, że śmiała się z mojego dowcipu, który opowiedziałem, aby się popisać. Jako że zaczynały być modne tatuaże, opowiadałem o gościu, który wytatuował sobie syrenkę, na co wszyscy machnęli ręką, w końcu taką to miał niejeden marynarz. Wyjaśniłem, że facet wytatuował sobie na ręce samochód syrenkę. Taki był to dowcip...

Następnego dnia w drodze do Warszawy zapytałem Dzikiego, kim była dziewczyna, na której łóżku usiadłem. Zaśmiał się najpierw, ale zaraz odpowiedział: „*To moja*

siostra.” „*Nie gadaj, pierwszy raz słyszę, żebyś miał siostrę.*” Kłamał, a ja to łyknałem. „Fajna siostra – mówię. - Co robi?” „*Mieszka w Poznaniu i studiuje.*” Coś mi nie grało w tej opowieści, ale sytuacja, w której ta blondynka byłaby siostrą dobrego kumpla, była mi na rękę.

W taki sposób się poznaliśmy. Lato 1991 roku w Wągrowcu i festiwal muzyki hard-core i punk. Brzmi potwornie. Powiedz mi, dlaczego to miejsce, dlaczego usiadłem akurat na jej łóżku, dlaczego w ogóle musiałem zapalić akurat wtedy? Co więcej, w ogóle na Natalię nie spojrzałem, nie mówiąc już o jakimkolwiek zauroczeniu! Tylko odnotowałem, że jest jakaś smukła blondynka. Ale dlaczego następnego dnia zapytałem o nią Dzikiego? Tego też nie potrafię wyjaśnić; wszystko jest tajemnicze. Widocznie, żeby spotkał dziewczynę stworzoną dla mnie, musiało mi się latem 1991 roku w Wągrowcu zachcieć zapalić przed snem. Papierosy! Jaka to ważna i przydatna rzecz!

Wróciłem do domu i wcale nie myślałem o dziewczynie. Minął miesiąc. Spotkałem ją przypadkowo drugi raz. W Warszawie odbywały się wtedy dość często różne undergroundowe imprezy. Hardcorowcy byli wtedy prężnym środowiskiem. Poszedłem do klubu Hybrydy, w którym z Armią sporo graliśmy w tamtych latach, na tak zwaną Giełdę Czadową. Ludzie przynosili płyty i je sprzedawali albo się nimi wymieniali. Szukałem Dzikiego, ale trafiłem na tę samą blondynkę, która śmiała się niedawno z mojego dowcipu. „*O, cześć!*” – zawołałem, a ona dała się zagadnąć. Wyszliśmy przed klub chwilę porozmawiać. Wymieniliśmy kilka błahych zdań na poziomie: „*Co robisz?*” – „*Studiuję.*” Przyjrzałem się jej wtedy, choć może było to coś więcej; wpatrywałem się w jej twarz.

Milcząco?

Bez słowa. Trwało to chwilę i wróciliśmy na giełdę. Ale w zasadzie nic się wtedy między nami nie wydarzyło. Nie wymieniliśmy się kontaktami, nawet nie powiedzieliśmy sobie grzecznościowego „*może się jeszcze spotkamy*”.

Trzeci raz spotkałem Natalię w Poznaniu. Występowaliśmy w tutejszej Arenie razem z Brygadą Kryzys. To był koncert transmitowany przez telewizję, zarejestrowany i wydany jako koncertowa płyta Armii Exodus. Natalia przyszła razem z poznańską załogą i trzymała się z Dzikim.

I co, zaiskrzyło?

O odbyliśmy krótką, nic nie znaczącą rozmowę, bo tak wypadało, i tyle. Nie wiem, co mi potem strzeliło do głowy, ale jak przyszły święta, poprosiłem Dzikiego o numer do Natalii. Zadzwoiłem do niej w Boże Narodzenie: „*Cześć, tu mówi Budzy.*” Natalia w szoku, że dzwonię, i to w takim czasie. „*Chciałem ci złożyć życzenia świąteczne*” – wytłumaczyłem, jakby to była najnormalniejsza rzecz w świecie, że dzwonisz w święta do niemal obcej osoby. Dlaczego do niej zadzwoniłem? Specjalnie długo ani o Natalii, ani o telefonie do niej nie myślałem. Dziwne wydarzenie.

Miałeś zwyczaj dzwonić do znajomych z życzeniami?

Nie, skąd! Widocznie już prosząc Dzikiego o numer, coś kombinowałem, ale bezwiednie, bo w sumie zaskoczyłem tym telefonem też samego siebie.

Może to rezultat drugiego spotkania, kiedy przyglądałeś się Natalii milcząco.

Pamiętaj, że to nie były żadne romantyczne spotkania nastolatków. Mieliliśmy już trochę lat, trochę doświadczeń za sobą, żyliśmy w specyficznym środowisku anarchistów i frików.

Natalia jest odważna. Większość dziewczyn związanych ze środowiskiem punkowym było agresywnych. Zachowywały się ostentacyjnie, na zasadzie: nikogo się nie boję, co mi zrobisz i tak dalej. (Teraz w podobny sposób zachowuje się moja córka: my tu gadamy, a Nina siedzi na squacie, bo przyjechał jakiś anarchistyczny zespół z Kraju Basków, więc musiała tam być).

Dziewczyny z tego środowiska udawały wtedy wyzwolone feministki. No nie podskoczysz, ty męska, seksistowska świni! Ostatecznie to była tylko poza, ale mimo wszystko te dziewczyny nie były głupimi trusiami. Natalia również rozmawiała ze mną bardzo odważnie, bez krępacji. Byłem wtedy jednym z najpopularniejszych muzyków w Polsce, a mimo to nie podchodziła do mnie jak do jakiejś zasranej gwiazdy.

ANGELIKA KORSZYŃSKA-GÓRNY

Mama trzech córek i dwóch synów, żona dziennikarza i pisarza Grzegorza Górnego od 23 lat są małżeństwem, obdarzona niezwykłym głosem wokalistka, kompozytorka. Występuje solowo i z zespołem 2Tm2,3.

– Muzyka była dla mnie jak powietrze. Jako nastolatka dużo komponowałam, grałam na fortepianie – wspomina. Od czwartego roku życia grała na pianinie, a już od siódmego – tworzyła. Dostała solidną edukację muzyczną, w 1989 roku wystąpiła na jednym z ważniejszych festiwali na Ukrainie, po czym zaczęła studia na wydziale wokalu operowego Lwowskiej Narodowej Akademii Muzycznej. Coraz częstszymi występami na ukraińskiej estradzie zdobyła popularność.

– Zaczęły się wywiady, zdjęcia na okładki – opowiada. I wtedy spotkała Grzegorza Górnego, ówczesnego korespondenta „Życia Warszawy”. – Był wielce zdziwiony, kiedy powiedziałam, że zajmuję się tym, o czym marzyłam od dzieciństwa, ale nie jestem w tym wszystkim szczęśliwa.

Do Polski przyjechali na stałe z ośmiomiesięczną córeczką. – Zostawiłam wtedy wszystko: kraj, w którym się wychowałam, rodziców, siostry, przyjaciół, karierę, studia. Przyjechałam do nowego kraju, gdzie była zupełnie inna mentalność, inni ludzie, inny język. To, tak jakby zaczynać życie od początku – ocenia.

O IMPROWIZACJI NA SCENIE I W ŻYCIU Z ANGELIKĄ KORSZYŃSKĄ –
GÓRNY I GRZEGORZEM GÓRNYM ROZMAWIA DOROTA ŁOSIEWICZ

Oboje macie wyraziste osobowości. Jak udało Wam się zbudować szczęśliwą rodzinę?

Grzegorz: Przejęliśmy się na serio tym, że małżeństwo jest sakramentem, zaprosiliśmy Pana Boga do naszego związku i od początku staraliśmy się budować na Nim. Mamy doświadczenie, że jeżeli On jest między nami, to mimo różnych trudności i przeciwności wszystko się układa. Kiedy się sprzeczamy, to później przepraszamy się i prosimy o wybaczenie. Kiedy mamy ważne decyzje do podjęcia, to rozeznajemy, wspólnie modląc się i czytając Pismo Święte.

Jak się poznaliście?

Angelika: Pan Bóg był tym, który nas połączył. Dzięki Niemu zaczęliśmy się sobą interesować. To Grzegorz był człowiekiem, który mnie zaprowadził do kościoła i zaczął mi wszystko tłumaczyć. Poznaliśmy się, gdy był korespondentem „Życia Warszawy” na Ukrainie. Zwróciłam na niego uwagę, kiedy na stole u niego w mieszkaniu zobaczyłam Pismo Święte. Pomyślałam sobie: „*Ten człowiek byłby dobrym ojcem dla moich dzieci.*” W moim kraju przez długie lata za posiadanie Pisma Świętego można było trafić do więzienia.

Czy pamiętacie jak wyglądaly oświadczyzny?

A: Zanim zaczęliśmy chodzić ze sobą, Grzegorz chciał mi zaimponować i pokazał mi plany swojego mieszkania w Warszawie, które było w budowie. Zapytałam, kto mu będzie to mieszkanie urządził, bo już się zorientowałam, że nie ma do tego smykałki. Grzegorz na to: „*A może ty byś mi pomogła?*” Ja jestem konkretnym człowiekiem, więc zapytałam go, w jakiej roli mam pomagać. Grzegorz spojrział na mnie, zastanowił się i mówi: „*Jako żona.*” W ten sposób Grzegorz po pięciu dniach naszej znajomości mi się oświadczył. Ja mu na to: „*Jako żona? To trzy pokoje to za mało, bo ja chcę mieć co najmniej trójkę dzieci.*”

Jak długo trwało Wasze narzeczeństwo?

A: Dziewięć miesięcy.

G: Mieliśmy problemy ze ślubem. Biurokratyczne i finansowe. Angelika miała obywatelstwo ukraińskie, ja polskie. Ukraina dopiero powstała. Załatwić potrzebne dokumenty w bałaganie po rozpadzie Związku Radzieckiego było bardzo trudno.

A: Trzeba było mieć mnóstwo pozwoleń, nawet od generała KGB. Któregoś dnia byłam tak zmęczona biurokracją, że usiadłam na ławce w parku, popłakałam się i powiedziałam: „*Grzegorz, nigdy więcej nie chcę już wychodzić za mąż. To było pierwszy i ostatni raz.*” Skutecznie mnie przekonali, żeby już więcej nie próbować.

Ale udało się. Gdzie braliście ślub? We Lwowie? W Warszawie?

G: Jedna duża część rodziny mieszkała na Ukrainie, a druga w Polsce, więc podzieliliśmy to na dwie części. Ślub cywilny braliśmy w Użhorodzie, kościelny we Wrocławiu. Mieliśmy cztery wesela: dwa we Wrocławiu, jedno w Użhorodzie i jedno we Lwowie.

To zaczęliście z przytupem.

A: W 1993 roku był straszny kryzys na Ukrainie i moi rodzice nie byli w stanie nam pomóc. Wesele odbyło się w ich domu na Zakarpaciu i było małe, tylko dla najbliższej rodziny. Potem w moim mieszkaniu we Lwowie zorganizowaliśmy wesele dla przyjaciół. We Wrocławiu rodzice Grzegorza, który ma bardzo liczną rodzinę, zorganizowali duże wesele. A potem Grzegorz urządził też wesele dla przyjaciół. Skromne, z kanapkami.

G: Było dużo kanapek... (śmiech)

A: To ostatnie wesele było znaczące.

G: Odbyło się było 18 września 1993 roku. W dzień wyborów, które wygrało SLD. Rozważaliśmy z przyjaciółmi, co tu zrobić i postanowiliśmy założyć nowe pismo. Tak powstał kwartalnik „Frona”.

Pierwsze dziecko Górnych?

G: Nie, raczej prezent weselny od Pana Boga.

Jak Wasze życie ułożyło się po ślubie?

G: Mój dwuletni kontrakt na Ukrainie się skończył. Angelika była już wtedy w ciąży. Zdecydowaliśmy się przenieść do Warszawy, ale mieszkanie było w stanie surowym. Kilka miesięcy potrwało, zanim urządziłem je na tyle, żeby Angelika mogła przyjechać z dzieckiem.

A: Annamarię urodziłam w swoim rodzinnym mieście. Kiedy córka miała 9 miesięcy, przeprowadziłam się do Warszawy i wtedy zaczął się najtrudniejszy okres w naszym małżeństwie. Mam nadzieję, że trudniejszych już nie będzie. Grzegorz musiał nam zapewnić byt i bardzo dużo pracował, a ja byłam kompletnie sama z malutkim dzieckiem w prawie pustym mieszkaniu – bez szaf, bez pralki, bez kuchenki. Mieliśmy taką malutką płytę na jeden garnek, na której gotowałam i jedzenie, i pieluchy.

Było Ci trudno? Bez rodziny i przyjaciół, bez znajomości języka.

A: Tak. Na Ukrainie zrobiłam już karierę zawodową i byłam rozpoznawana, a tutaj wszystko musiałam zaczynać od zera. Języka uczyłam się sama. Słuchałam radia i powtarzałam całe zdania. Wtedy poznałam ojców paulinów. Poszliśmy do ich kościoła na Eucharystię i nagle poczułam taki głód bycia w kościele, że odtąd codziennie biegałam na Mszę. W kościele czułam się jak w domu. We wrześniu 1994 roku dostaliśmy od księdza zaproszenie na katechezę neokatechumenalną. Wstąpiliśmy z Grzegorzem do wspólnoty. To, że mamy taką dużą rodzinę, jest też zasługą tej formacji. Kościół bardzo złagodził moje serce i mimo mojego artystycznego charakteru udało

mi się stworzyć dobrze funkcjonujący dom. To formacja pomogła mi zrozumieć, że bez ram, jakimi są zasady, nie uda się zbudować dobrze działającej rodziny.

Macie pięcioro dzieci, to dużo czy mało?

G: W moim środowisku jest to często spotykane (śmiech).

A: W moim to też normalne, bo gram w 2 Tm 2,3 a tam wszyscy mają dużo dzieci. Kiedy jeździłam na koncerty, to najmłodsze dziecko, które miałam przy piersi, zabierałam ze sobą. Rano zawsze któryś z chłopaków z zespołu pukał do mnie i zabierał malucha na spacer, żebyśmy mogła dłużej pospać.

Jak wasze życie ma się do bajki o „patologicznej rodzinie wielodzietnej”?

G: To rzeczywiście jest bajka, tyle że wielu w nią wierzy. Mam przyjaciela, który ma ośmioro dzieci. Jest właścicielem sieci hoteli i multimilionerem. Kiedy jego żona z dziećmi przyszła do kościoła, podchodziły do niej babcie i wtykały jej w rękę po 10, 20 złotych. Bo taki jest obraz rodzin wielodzietnych.

Z czego żyjecie, przecież z nieba Wam nie spada?

G: A właśnie, że spada, bo ja za tym nie chodzę, tylko do mnie się zwracają i nagle dostają jakiś kontrakt na cykl programów w telewizji, duży dokument, książki czy wykłady.

A: Jest tego tyle, że Grzegorz zastanawiał się któregoś dnia, czy nie zatrudnić managera. I wpadł na genialny pomysł. Powiedział: „*Panie Boże, Ty bądź moim managerem.*” I od tego czasu mamy spokój.

Grzegorz, dużo pracujesz i dużo wyjeżdżasz, a Angelika koncertuje. Jak wygląda wasze życie rodzinne?

G: U nas panuje zasada twórczej dezorganizacji i bałaganu (śmiech). A tak poważnie, to zacząłem więcej wyjeżdżać, kiedy dzieci były już odchowane. Ostatnio, kiedy robię książki, które wymagają jeżdżenia po świecie, to staram się zabierać ze sobą kogoś z rodziny.

A: Kiedy ja miałam wyjazdy z koncertami, to układaliśmy czas tak, żeby Grzegorz był w domu i odwrotnie. Gdy dzieci były małe, rodzice Grzegorza chętnie przyjeżdżali i nam pomagali. Oboje pochodzimy z dobrze funkcjonujących, uporządkowanych rodzin, które dawały nam poczucie bezpieczeństwa i przenosimy te wzorce na swoją rodzinę. Mimo, że jesteśmy artystami, to w szafach wszystko jest ułożone w kostkę według kolorów.

Czy wasze dzieci się kłócą?

A: W poprzednim mieszkaniu wszystkie zajmowały największy pokój. Kiedy przeprowadziliśmy się do nowego domu, kładły się spać osobno, ale kiedy rano przychodziłam je budzić, to znajdowałam śpiące po dwoje w łóżku. Kłóć się strasznie, ale potrzebują siebie nawzajem i lubią być ze sobą razem. One się nawzajem szlifują. Mając tak różne charaktery uczą się szanować drugiego człowieka i jego

odmienność. Nasze dzieci uczyły się przy mnie i są dobrze przygotowane do życia, potrafią wszystko zrobić. Dziewczyny świetnie gotują. Dziś kiedy wyjeżdżam z Grzegorzem na kilka dni, to nie chcą, żeby przyjeżdżali dziadkowie, bo znakomicie radzą sobie sami.

A jak funkcjonują chłopcy?

G: Cały czas się konfrontują.

A: Ale jak się ich rozdziela, to są w stanie wytrzymać bez siebie godzinę. Kiedyś za karę dałam jednemu materac, każąc nocować w garderobie. Patrzę, a brat niesie mu pluszaki i mówi, że tamten ma fajniej, i że ma taką karę, jakby miał nagrodę. I jak to się skończyło? Obaj spali w garderobie.

Czy przy tak aktywnym życiu zawodowym i rodzinnym macie czas dla siebie?

A: Jako nastolatka przeczytałam biografię słynnego kompozytora Borodina, który codziennie pisał swój plan dnia: dwie godziny przed południem komponuje, dwie godziny po południu komponuje, w międzyczasie spotkania z kompozytorami, obiad, dwie godziny dla żony. Pomyślałam wtedy: „*Co za potwór! Co to za mąż! Tylko dwie godziny dla żony dziennie!*”, a teraz myślę – „*aż dwie godziny...*”

G: Kiedyś dzieci zasypiały o 20.00 i resztę wieczoru mieliśmy dla siebie, a teraz my zasypiamy, gdy one jeszcze siedzą nad lekcjami.

A: Dawniej nie przypuszczałam, że będę się cieszyć ze wspólnego wypadu z mężem do supermarketu, ale dziś tak jest. Kiedy Grzegorz coś załatwia w obrębie Warszawy, to często jadę z nim i wtedy mamy okazję porozmawiać. W takich warunkach – mając dużo dzieci i dużo zajęć – cieszymy się każdą sytuacją, kiedy możemy być tylko ze sobą. Czy to pijąc kawę, czy szykując wspólnie posiłek – doceniamy ten czas. I zawsze znajdujemy czas na wspólną modlitwę.

Pewnie nie raz zdarzyło Ci się improwizować na scenie?

Agelika: Jasne. Pierwszy raz jednak improwizowałam mając trzy lata. Bardzo wczesnie odkryłam, że jestem muzycznie uzdolniona. Mama często opowiada, że już wtedy siadałam do pianina i zawsze wychodziła z tego melodia. Dlatego zaczęłam się uczyć gry na tym instrumencie. Niezła improwizacja wyszła mi także, gdy miałam 7 czy 8 lat. Dorastałam w Związku Radzieckim, Ukraina nie była jeszcze niepodległym państwem. Każda klasa miała wówczas za zadanie wybrać jakąś republikę Związku Radzieckiego i przygotować występ tematycznie związany z tą republiką. Moja klasa miała Litwę. Słabo nam szły przygotowania i ktoś rzucił hasło, że powinniśmy zaśpiewać jakąś litewską piosenkę. Znalazłam wtedy grę planszową, na której zasady gry były opisane w wielu językach, w tym po litewsku. Z występujących tam słów ułożyłam rymowany wierszyk i tak powstała ludowa pieśń litewska, którą zaśpiewałam. Nikt się nie zorientował.

Jako dorosła wokalistka też improwizowałaś?

Życie często tego ode mnie wymaga. Pamiętam jeden wyjątkowy moment, w którym bez szybkiej improwizacji, byłoby bardzo źle. To było wiele lat temu na Ukrainie. Miałam zaśpiewać na koncercie, emitowanym na żywo w telewizji. Trzeba było wówczas śpiewać z playbacku, żeby jakość dźwięku była lepsza. Konferansjer zapowiedział mój występ, weszłam na ogromną scenę (koncert był na stadionie) w pięknej długiej sukni, stanęłam przed mikrofonem. I gdy usłyszałam pierwsze dźwięki playbacku dotarło do mnie, że puszczone nie moja, a mojego kolegi piosenkę. On miał występować po mnie. To był Ołeksandr Ponomariow, bardzo znany dziś na Ukrainie piosenkarz. Poczulałam panikę, bo oto za kilka sekund będę musiała zaśpiewać męskim głosem, albo coś szybko wymyślić. Obróciłam się i zobaczyłam jego przerażone spojrzenie. Choćbym nie wiem jak szybko biegła i tak nie zdążyłabym przebiec całej sceny i wręczyć mu mikrofonu. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to złapałam mikrofon, rzuciłam w jego stronę, on go złapał i w tej sekundzie zaczął śpiewać. Śpiewając podszedł do mnie i kontynuował obejmując mnie, a na koniec powiedział, że miał zaśpiewać dla mnie. Kolejną piosenkę już ja śpiewałam dla niego. I tak wybrnęliśmy.

Zanim poznałaś swojego męża i zdecydowałaś się na wyjazd do Polski byłaś już na Ukrainie gwiazdą, pojawiałaś się na okładkach czasopism.

Z tą gwiazdą, to chyba przesadziłaś, ale faktycznie byłam znana. Wystąpiłam na dwóch znaczących festiwalach. Pierwszy z nich odbył się w 1989 roku. Wtedy po raz pierwszy wszyscy wokaliści śpiewali po ukraińsku. To było przed rozpadem ZSRR, więc żeby ludzie nie mogli dotrzeć na koncert ukraińska milicja stała z pałami i tych, którzy szli na koncert pałowała. Sama o mały włos bym dostała, bo się spóźniłam. Milicja blokowała wejścia, więc niektórzy muzycy, żeby zaśpiewać wchodzili przez okno. Na tym i na kolejnym festiwalu zostałam nagrodzona i faktycznie byłam wtedy częstym gościem w telewizji, gazety sporo o mnie pisały. Jedna nawet opublikowała wywiad pt. „W łóżku z Angeliką”. Brzmi ostro, ale miałam wtedy po prostu grypę i faktycznie podczas rozmowy leżałam w łóżku.

Nie żałujesz, że to wszystko rzuciłaś i wyjechałaś?

Początki wcale nie były takie różowe. Zaraz po ślubie myślałam: ale fajnie wyszłam za mąż za Polaka, zobaczymy co teraz będzie. Niedługo po ślubie zaszłam w ciążę. Rodzice powiedzieli, że raczej mi nie będą pomagać w wychowaniu, więc zdecydowałam, że dla dobra dziecka muszę zostać przy mężu. A jemu właśnie wtedy skończyła się akredytacja na Ukrainie i musiał wracać do Polski. Zostawiłam wszystko: rodzinę, przyjaciół, dom, język i ruszyłam w nieznaną. Trafiłam jak Mojżesz na pustynię. Po kilku miesiącach chciałam zwiewać do domu. Nawet się spakowałam. Na szczęście w kościele oo. paulinów, przy okazji katechez neokatechumenalnych, poznałam Tomka Budzyńskiego, Roberta Friedricha – „Litzę”, Darka Malejonka

i niezującego już Piotra Żyżelewicza „*Stopę*”. Kiedy mnie usłyszeli zaproponowali występy z zespołem 2Tm2,3.

Ale w Polsce to już było inne śpiewanie...

Mam wrażenie, że teraz znów zaczynam śpiewać, jak kiedyś. Na Ukrainie mówili o mnie „*ukraińska Kate Bush*”. Kiedyś puściłam „*Litzy*” piosenki ze swojej pierwszej płyty, wydanej właśnie na Ukrainie, a on z zaskoczeniem zapytał, czemu w Polsce tak nie komponuję. Powiedziałam, że bałam się im coś takiego zaproponować. Ale i pierwsza piosenka, którą zaśpiewałam z zespołem 2Tm2,3 tradycyjna raczej nie była. Oni grali punk rocka, a ja śpiewałam operowym głosem po łacinie. To było „*Stabat Mater*”. Wówczas tak źle mówiłam po polsku, że lepiej było, żebym śpiewała po łacinie, po hebrajsku, węgiersku lub w języku staroцеркiewnosłowiańskim. Solowa płyta „*Anioł Ognisty*”, którą skomponowałam, z mistycznymi wierszami Juliusza Słowackiego jest po polsku. Towarzyszyli mi na niej znakomici muzycy, którzy na co dzień grają z Michałem Lorencem. Generalnie mam wrażenie, że teraz już śpiewam odważniej, tak, żeby pokazać własny charakter. Wcześniej starałam się dopasować do zespołu.

W życiu codziennym też chyba musisz improwizować. W końcu masz piątkę dzieci...

Nawet kilka raz dziennie. Ale jak tu nie improwizować, jak nagle staje przed tobą syn, który za pół godziny musi wyjść do szkoły i mówi: „*mamo, gram dziś w przedstawieniu główną rolę. Jestem wilkiem, potrzebny mi strój.*”

Pewnie dostałabym zawatu.

A ja złapałam kaszkiet męża, z tekturowych rurek po papierze toaletowym wycięłam uszy, przyszyłam do kaszkietu, od kurtki odczepiłam futrzany kołnierz, robiąc z niego wilczy ogon. Reszta to była czarna koszulka i legginsy. Namalowałam mu jeszcze czarne wąsy i nos. Był podobno genialnym wilkiem. Innym razem córka, parę minut przed wyjściem oświadczyła, że ma bal przebierańców i musi się przebrać za Kubusia Puchatka, bo takie ma zadanie.

Niech zgadnę: w 5 minut skomponowałaś Kubusia?

Miałam wyjście? Długie włosy uczesałam w dwa koczki, robiąc z nich uszy. Założyłam jej żółte legginsy i żółty golfik. U chłopaków znalazłam, za małą na Kamilę, czerwoną koszulkę, którą założyłam jej na ten golf. Pod golfik wsadziłam jej poduszkę. Pobieglam do sąsiadki, bo widziałam, że jej córka nosiła żółtą czapkę pokemona. Koki Kamilki wetknęłam w tę czapkę, tak, że powstały uszy. I już był Puchatek.

Masz fantazję. Siebie też przebierasz?

Kiedyś przyjaciel zaprosił mnie do swojego programu. Zadzwoił na godzinę przed wejściem na antenę. Okazało się, że jakiś gość zostawił go na lodzie, nie może przyjść i potrzebny mu był ratunek. Nie mogłam go zawieść. Jednak pech chciał, że mieliśmy wtedy popsutą pralkę. Nie miałam się w co ubrać. Wyciągnęłam więc z szafy

białą, lnianą koszulę nocną do kostek, na to wrzuciłam białą lnianą koszulę męża, podwinęłam rękawy. I pobiegłam. Okazało się, że dekoracją studia był kremowy tiul. Wpisałam się idealnie. Znajomi mówili, że wyglądałam jak anioł.

W kuchni też wypadasz śpiewająco?

Ja po prostu lubię komponować, więc robię to także w kuchni. Czasem brakuje mi składników, wymyślam więc, z tego co mam, nowe potrawy. Mam takie danie - tort naleśnikowy, tzw. „tort z niczego”. Robię go gdy ktoś ma przyjść, albo dzieci mają ochotę na coś słodkiego, a akurat nic nie ma. Z racji tego, że pochodzę z Zakarpacia, mam pod ręką zawsze dużo mąki kukurydzianej, która jest tam popularna. Mam też zawsze pod ręką dżem od rodziców. Smażę dużo naleśników kukurydzianych, przekładam dżemem, układam jednego na drugim i gotowe. Kroi się jak tort. I to jest na prawdę pyszne. Wymyśliłam też danie z dyni. Pokrojoną w kostkę dynię wkładam w szklane, żaroodporne naczynie, podlewam wodą i zapiekam. Po wyjęciu posypuję ostrą papryką, solą i cytryną. I to jest bardzo dobre. Kiedyś w podobny sposób podawali nam w Meksyku mango. Pomyślałam, że z dynią też wyjdzie. I wyszło. A na Zakarpaciu je się zapiekaną dynię, polaną miodem. Kroi się ją, jak arbuza.

Mówiłaś o humorystycznych aspektach związanych z wychowaniem, ale wychowanie, zwłaszcza piątki dzieci, to nie bułka z masłem, ani dynia z miodem. Jaki jest Twoim zdaniem cel wychowania?

Chcemy tak wychować dzieci, żeby trafiły do Królestwa Niebieskiego. Zależy nam, żeby były uczciwe, szanowały innych, żeby były bogobojne, w takim sensie, żeby miały szacunek do Boga. Mogą się z Nim kłócić, ale niech to robią na kolanach. Jeśli będą mieć z Bogiem taką relację, to będą szanować innych i siebie.

Brzmi pięknie. Czy to znaczy, że nie macie problemów z wychowaniem?

Mamy mnóstwo problemów, bo mamy normalne dzieci. One się z nami kłócą, bywają też nieposłuszne i uparte. Pierwsza sytuacja z brzegu. Do starszego syna przychodził kiedyś nasz przyjaciel, by udzielać mu korepetycji z matematyki. Młodszy syn też chciał mieć korepetycje. Nie było jednak potrzeby, bo miał z matematyki same piątki. Syn poradził sobie z tym problemem. Przestał odrabiać lekcje, przestał się uczyć i nabierał jedenaście jedynek. Zostaliśmy wezwani do szkoły i pani nauczycielka pyta: „dlaczego syn się cieszy jak dostaje kolejną jedynkę z matematyki z rzędu?” No i teraz ma korepetycje.

Bywa ciężko?

Nie narzekam, ale zdarza się, że zaskoczeni bywają ci, co nie wiedzą, co to znaczy wielodzietność. Kiedyś pojechaliśmy na rekolekcje. Kilka wielodzietnych małżeństw. Dziećmi miała się zająć doświadczona opiekunka. Dziewczyna uparła się, że będą lepić z plasteliny, ale dzieci akurat chciały się bawić w złożony z krzesel pociąg. Opiekunka walczyła o swoją plastelinę, a oni skakali, bo byli szczęśliwi, że mają pociąg.

Koniec końców opiekunka spakowała się i zaczęła uciekać. Dzieci przybiegły po nas i mówią, że opiekunka ucieka. Więc my za nią, a ona biegnąc krzyczała tylko: „*proszę mnie nie zatrzymywać, nie chcę pieniędzy*”.

Wrzeszczysz?

Jasne! Ja mam wokal operowy. Jestem po konserwatorium. Współczuję sąsiadom. Naszym sukcesem wychowawczym jest natomiast to, że udało się nauczyć dzieci przepraszać siebie nawzajem i przepraszać nas. To jest szczerze. Mój ojciec, który jest prawosławny, nauczył mnie, że jeśli mogę przeprosić kogoś, do kogo żywię urazę, to powinnam to zrobić przed modlitwą. To dlatego, że nie można prosić: „*i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom*”, jeśli tych win nie odpuściliśmy. W innym wypadku prosilibyśmy po prostu o przekleństwo.

Czy stół ma w waszej rodzinie znaczenie?

To bardzo mocne rodzinne przeżycie. My się modlimy przed posiłkami. W ten sposób stół staje się ołtarzem. W niedzielę wspólnie czytamy biblię. Grzegorz tłumaczy fragmenty. Wieczorem, przed położeniem dzieci, opowiada im różne historie. Innym spoiwem naszej rodziny są wspólne podróże, wspólne czytanie oraz wspólne muzykowanie. W domu dużo śpiewamy i gramy. Córki występują też ze mną na scenie.

Skoro już wywołałaś córki: jak to jest z ich chłopakami? Akceptujecie wszystkich. Prześwielacie?

Wszyscy są zapraszani na herbatę i przechodzą przez mój rentgen. Przeważnie dają im kredyt zaufania. Gorzej, jak się rozczaruję.

Co wtedy?

Modłę się, żeby Matka Boża zaingerowała. I ona przeważnie mnie słucha.

Także w sprawie twojego małżeństwa? Jaka jest recepta na udany związek?

Małżeństwo musi być ważniejsze niż dzieci. Dzieci przychodzą i wychodzą z domu, a małżeństwo zostaje. Gdy dzieci widzą, że rodzice się kochają, to i one czują się kochane. Mamy jednak świadomość, że to nie są nasze dzieci, a Boga i trzeba je tak wychować, żeby On był ze swojego stworzenia dumny. Trzeba się umieć przepraszać. Trzeba też szczerze mówić, nawet o trudnych sprawach. Kiedyś, jak się pokłóciliśmy, wyniosłam się spać do innego pokoju. Nie mogłam się jednak pomodlić. Wymyśliłam, więc, że pójdę do męża i powiem mu, że to ja mam rację i powinien mnie przeprosić. Jak pomyślałam, tak zrobiłam. Stałam nad nim z obrażoną miną, stałam w milczeniu i zaczęłam się strasznie śmiać. Po prostu nie mogłam sobie przypomnieć, o co się pokłóciliśmy. I było po wszystkim.

Jakie masz plany artystyczne?

Liczę, że Bóg mi pozwoli nagrać materiał, o którym marzę od kilku lat. Ale więcej nie powiem. W zeszłym roku udało mi się skomponować muzykę do filmu dokumentalnego. Czuję się muzycznie i życiowo spełniona.

POLSKA RADA DUSZPASTERSKA EUROPY ZACHODNIEJ

Troska pasterska o emigrantów – czyli o ludzi, którzy z jakiegokolwiek przyczyny, na stałe lub czasowo, przebywają poza własną Ojczyzną – stanowi integralną część misji Kościoła. Z tą świadomością Kościół w Polsce otacza opieką duszpasterstwo polskich emigrantów tak w wymiarze personalnym, jak i strukturalnym. Wśród struktur ułatwiających duszpasterstwo polskiej emigracji istnieje Polska Rada Duszpasterska Europy Zachodniej, skupiająca przedstawicieli Polskich Misji Katolickich i ośrodków duszpasterstwa polskojęzycznego w krajach europejskich. PRDEZ tworzy płaszczyznę do refleksji i dialogu oraz stanowi inspirację do podejmowania duszpasterskich działań na rzecz umocnienia wiary Polaków żyjących w Europie i obrony ich prawa do posiadania własnego duszpasterstwa w krajach osiedlenia. PRDEZ została utworzona w 1992 roku, w jej skład wchodzi obecnie 75 osób, przedstawiciele duchowieństwa, osób konsekrowanych i laikatu z 18 krajów Europy. Na czele Rady stoi Delegat KEP ds. Duszpasterstwa Emigracji, którego wspiera 8-osobowe Prezydium Rady. Podstawą działania Polskiej Rady Duszpasterskiej Zachodniej Europy są dokumenty Stolicy Apostolskiej odnoszące się do duszpasterstwa migrantów, wskazania II Polskiego Synodu Plenarnego oraz prerogatywy Konferencji Episkopatu Polski i jej Delegata ds. Duszpasterstwa Emigracji Polskiej. Szczególnym punktem odniesienia są *„Wytoczne Konferencji Episkopatu Polski dotyczące Duszpasterstwa Emigracji Polskiej”*.

Celem PRDEZ jest wspieranie Delegata Konferencji Episkopatu Polski ds. Duszpasterstwa Emigracji Polskiej w wykonywaniu jego funkcji oraz służenie mu radą przy rozwiązywaniu istotnych problemów personalnych i organizacyjnych, związanych z duszpasterstwem polskojęzycznym w poszczególnych krajach. Tworzenie wspólnej opiniotwórczej platformy osób duchownych, zakonnych i świeckich dla wymiany myśli i doświadczeń oraz współdziałania w zakresie planowania i prowadzenia duszpasterstwa dla Polaków żyjących poza granicami ojczystego kraju. Wyznaczenie kierunków pracy duszpasterstwa emigracyjnego z uwzględnieniem programów duszpasterskich Kościoła w Polsce oraz Kościołów partykularnych. Troszczenie się o przekazywanie religijnych i patriotycznych tradycji nowym pokoleniom Polaków na emigracji. Reprezentowanie emigracyjnych wspólnot w diecezjalnych, krajowych i europejskich strukturach katolików świeckich.

Polska Rada Duszpasterska Europy Zachodniej jest przedstawicielstwem polskich katolików w Europie Zachodniej. Na jej czele stoi każdorazowo Delegat Konferencji Episkopatu Polski ds. Duszpasterstwa Emigracji Polskiej. Od dwóch lat jest nim ks. bp Wiesław Lechowicz, sufragan tarnowski.

W dniach od 30 września do 2 października 2016 r. w Arcybiskupim Seminarium Duchownym w Poznaniu odbyło się zebranie plenarne Polskiej Rady Dusz-

pasterskiej Europy Zachodniej, na które przybyli rektorzy PMK, duchowni, siostry zakonne i świeccy z krajów Europy: Anglii, Austrii, Danii, Francji, Hiszpanii, Holandii, Irlandii, Luxemburga, Niemiec, Norwegii, Szkocji, Szwajcarii, Włoch, Węgier i Polski. Na czele Rady, liczącej 70 osób, stoi Delegat KEP ds. Duszpasterstwa Emigracji Polskiej ks. bp Wiesław Lechowicz. Węgry reprezentowali: ks. Krzysztof Grzelak Schr, proboszcz polskiej parafii w Budapeszcie, oraz Katarzyna Takácsné-Kalińska, członek zarządu Stowarzyszenia Polskich Katolików na Węgrzech pw. św. Wojciecha.

Tegoroczne obrady poświęcone były nowej ewangelizacji w środowiskach polonijnych. W refleksji pastoralnej pomagały referaty: ks. Bogusława Brzysia – Rektora PMK we Francji oraz członków Zespołu ds. Nowej Ewangelizacji przy Konferencji Episkopatu Polski ks. Artura Godnarskiego i ks. Krzysztofa Czerwionki. Zebrani zwrócili uwagę na konieczność dobrego przygotowania środowisk polonijnych do zbliżających się w przyszłym roku Kongresów Nowej Ewangelizacji w Anglii, Francji i Niemczech. Podstawą ewangelizacji jest zażyłość ze słowem Bożym, dlatego w obradach uczestniczyli też przedstawiciele Szkoły Słowa Bożego, którzy przekazali informacje o nowych projektach służących promocji lektury i medytacji Słowa Bożego.

Refleksji pastoralnej i dyskusji towarzyszyła modlitwa w intencji Polonii i ich duszpasterzy. Gościem obrad był Przewodniczący KEP – ks. abp Stanisław Gądecki, metropolita poznański, który przewodniczył Eucharystii. W swoim słowie nawiązał do przeżywanego w Polsce Roku Miłosierdzia, Świątowych Dni Młodzieży zakończonych w Krakowie oraz jubileuszu 1050-lecia Chrztu Polski.

Uczestnicy spotkania odwiedzili też miejsca związane z początkiem chrześcijaństwa w Polsce – w Poznaniu, Gnieźnie i Polach Lednickich, a także Dom Generalny Sióstr Misjonek Chrystusa Króla dla Polonii Zagranicznej w Morasku.

Kolejne obrady plenarne odbędą się w Schoenstatt w Niemczech w dniach od 29 września do 1 października 2017 roku i zostaną poświęcone tematyce związanej z posługą miłosierdzia.

Na czele Polskiej Rady Duszpasterskiej Europy Zachodniej Rady, liczącej 70 osób, stoi Delegat KEP ds. Duszpasterstwa Emigracji Polskiej, ks. bp Wiesław Lechowicz, którego wspiera 8-osobowe Prezydium Rady w składzie: ks. Prałat Stanisław Budyń – Wiceprzewodniczący Rady, Rektor PMK w Niemczech; Pan Zenon Handzel – Wiceprzewodniczący Rady z Anglii; ks. dr Krzysztof Tyliczszak – Sekretarz Rady, Kanclerz PMK w Anglii i Walii; ks. Bogusław Brzyś – Rektor PMK we Francji; ks. Prałat Stefan Wylęzek – Rektor PMK w Anglii i Walii; pani Małgorzata Dudek z Francji; pan mecenas Andrzej Holm z Niemiec i pani Katarzyna Takácsné-Kalińska z Węgier.

WYJAZD ŚWIĘTOMARCIŃSKI

W ostatni weekend października, 29–30. 10. 2016 r., osoby tworzące Dom Polski w Budapeszcie i w większości zrzeszone w Stowarzyszeniu św. Wojciecha, udały się corocznym zwyczajem w podróż. Tym razem był to wyjazd Świętomarciński, ponieważ na Węgrzech obecny rok był świętowany jako Rok Świętego Marcina. Z uwagi na fakt, że święty urodził się na Węgrzech, wedle jednej tradycji, w pannońskiej Sabariae (Szombathely) w 317 r., druga tradycja podaje, że Marcin narodził się w pobliżu Győr, na miejscu zwanym do XVIII w. Górą Świętego Marcina, gdzie w X w. książę węgierski Géza wznosił słynne opactwo pw. św. Marcina, które obecnie znamy jako Pannonhalma.

Wyjazd zaplanowano w ten sposób, aby podkreślić pannońskie, węgierskie korzenie św. Marcina z Tours. Dlatego odwiedziliśmy opactwo benedyktyńskie w Pannonhalmie, następnie pobliski Győr, który w czasach św. Marcina nazywał się Arrabona oraz udaliśmy się do Bratysławy – obecna nazwa (węgierska nazwa Pozsony lub Presburg) – dawnej stolicy Węgier słynnej z koronacyjnego kościoła św. Marcina.

Sam św. Marcin (317–397) jako młody człowiek opuścił Pannonię i został w Galii rzymskim żołnierzem. Przez lata był katechumenem i w związku z tym zrezygnował ze służby wojskowej. Powrócił nad Dunaj, gdzie miał nawrócić na chrześcijaństwo swoich najbliższych. Następnie zamieszkał w Galii i w Poitiers przyjął chrzest, oraz w pobliskim Ligugé podjął życie pustelnika. W 371 r. został biskupem Tour. Po śmierci czczony jako święty, stał się patronem zachodniego monastycyzmu. Jest też narodowym patronem Francji. Na Węgrzech natomiast od stuleci pamięta się, że święty urodził się na nizinie pannońskiej.

Pierwszym punktem naszego wyjazdu stało się ponad tysiącletnie benedyktyńskie opactwo św. Marcina, Pannonhalma. Zwiedzanie rozpoczęliśmy od położonego u stóp wzgórza gospodarstwa rolnego, które specjalizuje się w uprawie i przetwórstwie ziół, z których otrzymywane są produkty szerokiego zastosowania. Od nalewek, wyrobów czekoladowych po mydła i olejki zapachowe. Następnie udaliśmy się do świątyni opackiej. Została ona wzniesiona jeszcze w X w. i poprzez stulecia ulegała przebudowom i modernizacjom. Jej obecny kształt jest zasadniczo romański i neo-romański. Jest to trójnawowa bazylika z podwyższonym chórem zakonnym. Obecne stalle zakonników są współczesne, a reszta wyposażenia bardzo oszczędna. Dla nas Polaków na Węgrzech ważnym miejscem w katedrze jest jedna z kaplic w lewej części nawy, gdzie znajduje się wizerunek przedstawiający chrzest Vajka, czyli późniejszego św. Stefana. Młodego księcia chrzci nie kto inny, tylko sam św. Wojciech, patron Stowarzyszenia. Drugi podobny znajduje się w kaplicy św. Stefana w samym zespole klasztornym, do którego wchodzi się z krużganków. Same krużganki obiegające

opacki wirydarz są perłą architektury gotyckiej z okresu XIV–XV w. i reprezentują dojrzały gotyk węgierski o francuskich korzeniach.

Następnym punktem zwiedzania opactwa była jego bardzo bogata biblioteka. Tutaj znajdują się skarby kultury węgierskiej. Księgozbiór gromadzony jest nieustannie od X/XI w., aż do dnia dzisiejszego.

Samo założenie rozległego opactwa powstawało poprzez pokolenia. Przez tysiąc lat często było niszczone w wyniku najazdów oraz odbudowywane i modernizowane. Stąd są w zespole budynków reprezentowane style: romański (kościół), gotycki (krużganki), barok (biblioteka), klasycyzm (wieża kościoła) i modernizm (szkoła klaszorna).

Ostatnim punktem naszej wizyty w opactwie benedyktynów na Górze św. Marcina w Pannonhalmie była przerwa kawowa w nowoczesnym centrum turystycznym usytuowanym na zboczu wzgórza. Następnie pojechaliśmy do Győr, gdzie zostaliśmy zakwaterowani w samym sercu miasta, naprzeciw katedry, w hotelu Konferencja. Pobyt w mieście był krótki, ale wystarczający, aby zarówno zapoznać się z zabytkami tego słynącego z bardzo długiej historii miasta, jak i na chwile rozrywki wespół z dwójką miejscowych Polonusów, reprezentujących Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. Sobieskiego.

Najcenniejszym zabytkiem tego pięknego miasta jest tysiącletnia katedra. Słynie ona z niezwykle cennego romańskiego prezbiterium z absydą oraz dwóch absyd zamkniętych nawy boczne bazyliki. We wspaniałej gotyckiej kaplicy, chlubie XIV-wiecznych węgierskich budowniczych, znajduje się jedna z największych relikwii i skarbów węgierskiej państwowości: drogocenna herma z relikwią głowy św. Władysława, który był nie tylko urodzonym w Krakowie wybitnym królem Węgier, ale przyczynił się przyłączeniem do korony Św. Stefana Siedmiogrodu, i jest patronem całej Polonii węgierskiej. Ta cenna relikwia znalazła swe miejsce w Győr po tym, jak mocarstwa ustaliły podczas traktatu w Trianon, że Węgry zostaną pozbawione Siedmiogrodu. Naprzeciw hermy znajduje się współczesny sarkofag bł. Wilhelma Apora, który zmarł 2 kwietnia 1945 r., oddając swe życie w obronie ukrytych w siedzibie biskupiej kobiet, które tam się schowały w momencie zajmowania miasta przez Armię Czerwoną.

W samej katedrze kilka chwil spędziliśmy przed cudownym wizerunkiem Matki Bożej płaczącej z Dzieciątkiem Jezus. Potem mogliśmy podziwiać piękną XVIII wieczną polichromię, przykład wspaniałego malarstwa węgierskiego doby dojrzałego baroku.

Po wyjściu z katedry udaliśmy się na zwiedzanie starego miasta. Na naszej trasie był rokokowy kościół karmelitów, w którym w XIX w. nowicjat zakonny odbywał św. Rafał Józef Kalinowski. Spacerowaliśmy urokliwymi (co podkreślał nadciągający zmrok) zaułkami barokowego Győr. Podziwialiśmy piękny ratusz, urokliwe

kamienice, kilka kościołów, w tym benedyktynów, który położony jest przy rynku. Byliśmy przed kamienicą, gdzie stacjonował Jan III Sobieski w czasie wiedeńskiej wyprawy przeciw Turkom, oraz młodociany Liszt Ferenc, przebywający w mieście wraz z rodzicami.

Po kolacji, zgromadziliśmy się na miłych chwilach, które spędziliśmy we własnym gronie śpiewając, troszkę tańcząc, zjadając słodkości i popijając je białym i czerwonym winem. Wraz z nami miło czas spędzała pani, która prowadzi chór w Győr, a nam akompaniowała na akordeonie, a także dwoje miejscowych Polaków ze Stowarzyszenia im. Sobieskiego. Po miłym spotkaniu, w dobrych nastrojach udaliśmy się na zasłużony odpoczynek.

Po nocy spędzonej w Győr wyruszyliśmy do Bratysławy, która pozostaje stolicą liczącego niewiele lat państwa słowackiego. Tam oczekiwał na nas przyjaciel Polski i Polaków, dr. Imre Molnar wraz z kolegą, miejscowym historykiem. Naszym celem było nawiedzenie kościoła koronacyjnego św. Marcina. Jednak poznawanie uroków Bratysławy zaczęliśmy od unikatku w postaci uroczego jak bombonierka, niebieskiego kościółka św. Elżbiety, który wzniosła węgierska arystokracja w XIX w., w modnym wówczas stylu secesyjnym.

Istotnym punktem naszego wędrowania był zamek, usadowiony na wzgórzu, z którego rozpościera się piękna panorama na Dunaj i całe miasto. Od czasów antycznych tutaj znajdowały się siedliska, a od wczesnego średniowiecza gród z kościołem, wzniesione w okresie państwa wielkomorawskiego. Od XIII w. zamek stał się ważną siedzibą królów węgierskich. To tutaj miała się narodzić św. Elżbieta oraz jej brat, król Bela IV. Z czasów średniowiecza ocalała jedna wieża zamkowa, w której od XVI w. przechowywane były węgierskie insygnia koronacyjne. Reszta zamku powstała w okresie renesansu i baroku. Sam zamek uległ spaleni w drugiej dekadzie XIX w. i został odbudowany dopiero w połowie XX w.

Następnym punktem było zwiedzenie lokacyjnego miasta Pozsony, które swe prawa miejskie zawdzięcza ostatniemu królowi Andrzejowi III z rodu Arpadów, którego żoną była pochodząca z Inowrocławia Piastówna o wdzięcznym imieniu Fenenna. Mijając pałac Grassalkovicz, oraz piękny rokokowy kościół trynitarzy przez sięgającą średniowiecza Bramę Świętego Michała, weszliśmy w obręb starego miasta. Przeszliśmy główną ulicą noszącą imię św. Michała i udaliśmy się do kościoła franciszkanów słynnego z tego, że każdy z 9 koronowanych w Pozsoniu królów węgierskich (była pośród nich i jedna kobieta, Maria Teresa) tutaj pasował w dniu swej koronacji nowych rycerzy. Kolejnym punktem był rynek i jego specyficzny ratusz, będący zlepkiem stylów oraz połączeniem w jedno kilku kamienic mieszczańskich. Mieliśmy ponadto możliwość zobaczenia wspaniałego pomnika architektury gotyckiej, kościoła klarysek. Teraz służy on jako sala koncertowa, wcześniej jednak, od XIII do XVIII

w. należał do zakonu klarysek, a od XVII w. jeszcze do dominikanek, które uciekły z Wyspy Małgorzaty, przed Turkami. W tym kościele znajdowały się też w drogocennych relikwiarzach kości św. Małgorzaty, córki króla Beli IV i siostry św. Kingi, bł. Jolanty i Konstancji. Od XVIII w. relikwie zaginęły i ponoć spoczywają zamurowane gdzieś na terenie kościoła.

Nasze poznawcze wędrowanie zakończyliśmy w pięknej, świątyni pw. św. Marcina. Ten cenny gotycki, halowy trójnawowy kościół od średniowiecza pełnił rolę kościoła farnego, a po klęsce wojsk węgierskich pod Mohacsem w 1526 r. stał się świątynią prymasa Węgier, oraz kościołem koronacyjnym królów węgierskich z dynastii Habsburgów oraz ich małżonek.

Zgromadzeni w kościele uczestniczyliśmy w Mszy św., którą sprawował po polsku (z węgierskim Ojcie Nasz) proboszcz kościoła polskiego w Budapeszcie ks. Krzysztof Grzelak SChr., następnie miało miejsce pamiątkowe zdjęcie przed słynną figurą św. Marcina, która niegdyś znajdowała się w barokowym ołtarzu głównym. Od czasów, gdy w kościele zaczęli swe porządki wprowadzać Słowacy, wielki ołtarz został zdemontowany, a figura św. Marcina zastała przesunięta w sam róg nawy.

Po Mszy św. nieco zmarznięci z animuszem udaliśmy się na obiad na ulicę Zieloną. To był nasz ostatni punkt pielgrzymowania. Popołudniową porą ruszyliśmy już ku domowi, do Budapesztu. Uwoziliśmy ze sobą wiele wrażeń, nowych wiadomości i wspomnień tego, co dane nam było razem przeżyć. Dobrze jest nam przebywać ze sobą, zwłaszcza jeśli sceneria się zmienia i możemy doświadczyć czegoś nowego, pięknego. Zatem spełniło się znane motto: podróże kształcą i do Budapesztu powróciliśmy nieco ubogaceni.

Piotr Stefaniak

Program zrealizowano przy wsparciu węgierskiego Narodowego Funduszu Współpracy

LISTOPADOWA OPOWIEŚĆ O ŚW. MARCINIE

Jako jeden z najpopularniejszych w Europie, od wczesnego średniowiecza aż po dzień dzisiejszy, święty Marcin z Tours przeszedł do tradycji ludowej, zwłaszcza do licznych przysłów:

Od Świętego Marcina zima się zaczyna,

Jaki Marcin taka zima,

Gdy wschodni wiatr na Marcina, będzie ostra zima,

Jeśli na Marcina sucho, to Gody z pluchą,

*Gdy Marcinowa gęś po wodzie, Boże Narodzenie po lodzie,
 Jak mglisto na Marcina, będzie lekka zima,
 Marcin na białym koniu jedzie,
 Bywa zawsze o Marcinie u nas ogień już w kominie,
 Młoda jak jagoda po świętym Marcinie,
 Na Świętego Marcina najlepsza gęsina,
 Na Świętego Marcina pij wino, wodę pozostaw młynom.*

Rok 2016 na Węgrzech był ogłoszony Rokiem św. Marcina. Z uwagi na to świętowanie, także Polonia na Węgrzech zdecydowała się udać śladami tego bardzo popularnego świętego. Nie do Francji jednak, do Tours, gdzie był biskupem, czy do Candes, gdzie zmarł 8 listopada 397 r., ale do czcigodnego opactwa na Górze św. Marcina w Pannonhalmie, a następnie poprzez Győr do Pozsony, czyli Bratysławy, dawniejszej stolicy Węgier, słynnej z katedry św. Marcina. Marcin (zwany po łacinie Martinus Turonensis a po węgiersku szent Márton) urodził się w 317 r. w Savariae w rzymskiej prowincji Pannonia. Tak przynajmniej twierdził Grzegorz z Tours, który datował urodziny Marcina na jedenasty rok panowania Konstantina Wielkiego, czyli właśnie na 317 r. Sulpicjusz Sever – prawnik, historyk i hagiograf łaciński, pochodzący z rzymskiej Galii, autor *Żywota świętego Marcina* – dzieła, które cieszyło się przez wieki niebywałą popularnością i wywarło olbrzymi wpływ na kulturę, religię a nawet politykę europejską, natomiast uważał, że Marcin przyjął chrzest w wieku osiemnastu lat, po czym służył przez dwa lata w wojsku, do roku 356. Narodzić się więc miał w 335 r. Do dziś nie udało się badaczom, zwłaszcza hagiografom i historykom ustalić, kto miał rację. Tak samo miejsce urodzenia świętego, choć znane jest z łacińskiej nazwy jako Savaria, to przez wieki wiele miejscowości na terenie obecnych Węgier, Chorwacji, Serbii i Austrii powołuje się na tradycję, zgodnie z którą właśnie tam miał urodzić się św. Marcin.

Obecnie naukowcy wskazują, że ta Savaria, w której miał narodzić się Marcin, to obecnie zachodnio-węgierskie miasto Szombathely. Ono też aktualnie dystansuje tradycję utrzymującą, że św. Marcin miał się narodzić na miejscu, które potem nazwano Górą św. Marcina i pobudowano w X w. opactwo benedyktyńskie znane jako Pannonhalma, którego ten święty pozostaje głównym patronem.

Sam święty był synem trybuna z Savariae w Pannonii. Na cześć rzymskiego boga Marsa otrzymał imię Martinus. Dzieciństwo jednak spędził nie w Pannonii, ale w Italii, dokąd przenieśli się jego rodzice, aby osiąść w Pavi. Tam też zetknął się z chrześcijaństwem i jeszcze jako dziesięcioletni chłopak został katechumenem, czyli poznającym naukę Chrystusa i przygotowującym się do chrztu. Jednak rodzina bardzo była przeciwna temu, aby Marcin przyjął chrzest, gdyż uważali, że chrześcijaństwo

nie jest dobrym rozwiązaniem dla ich syna, gdyż w takiej sytuacji nie będzie on w stanie osiągnąć wysokiej pozycji w społeczeństwie rzymskim; jako chrześcijanin nie odniesie sukcesu. Także biskup Pavii był niechętny ochrzczeniu Marcina obawiając się gniewu jego ojca, który mógłby spaść na podległą mu gminę chrześcijańską. W tej sytuacji mający 15 lat zdecydował się na karierę wojskową: został rzymskim legionistą. Stosowną, wojskową przysięgę złożył jednak dopiero po osiągnięciu pełnoletniości, którą wówczas uzyskiwano w wieku 17 lat. W 338 r. garnizon, w którym służył został przeniesiony do Galii, do miasta Amiens. To tutaj miało miejsce zdarzenie z życia Marcina, które następnie weszło do jego ikonografii. Otóż pewnej zimy u bram miasta napotkał półnagiego żebraka. Ulitował się nad nim i oddał mu połowę swojej żołnierskiej opończy. W nocy podczas snu zobaczył Jezusa odzianego w jego płaszcz. Chrystus przemówił do towarzyszących mu aniołów: *Popatrzcie, jak mnie Marcin, katechumen, przyodziął*. Ten gest miłości miłosiernej stał się rysem charakterystycznym dla samego Marcina, jego duchowości oraz sposobu postrzegania świata. Po epizodzie przy bramie miejskiej, Marcin zdecydował się już nie zwlekać z chrztem. Przyjął go w Wielkanoc 339 r. Miał więc 22 lata (albo, jak chcą inni 18). Zostawszy chrześcijaninem, zdecydował się na rezygnowanie ze służby wojskowej. Ówczesni wyznawcy Chrystusa mieli bardzo pacyfistyczne poglądy i uważali, że wyznawcy nie powinni służyć w wojsku, gdyż jest to zawód niegodziwy z powodu przelewania krwi ludzkiej podczas walk. I choć jeszcze nie było formalnego zakazu dla chrześcijan w tym względzie, gdyż wprowadzili je dopiero w 370 r. papież św. Damazy I, a powtórzył jego następcą św. Syrycjusz w 386 r., to Marcin w 356 r. zdecydował się na zakończenie kariery legionisty rzymskiego. Uczynił to podczas wyprawy do Galii przeciwko germańskim plemionom, które najechawszy prowincję bardzo ją łupiły. Marcin wówczas towarzyszył cesarzowi Julianowi. Wykorzystał pradawny zwyczaj, że żołnierzom w przeddzień bitwy, dla zwiększenia morale, dawano podwójny żołd. W tej sytuacji Marcin poprosił, aby mu zamiast żołdu pozwolono na zwolnienie z armii. Dowódca nie wykazał zrozumienia, wręcz przeciwnie polecił go aresztować. W odpowiedzi Marcin prosił, by mógł wziąć udział w bitwie bez broni, aby stanął z krzyżem w pierwszym szeregu. Okazało się jednak, że w dniu następnym Germanie poprosili Rzymian o pokój. W tej sytuacji Marcin mógł swobodnie zakończyć swą wojskową karierę. Udał się wówczas do rodzinnej Pannonii, do rodziców. Stara tradycja powiada, że udało mu się ich nawrócić, porzucili oni bożki pogańskie i zostali chrześcijanami. Faktem jest, że wówczas na terenie Pannonii chrześcijaństwo zapuściło już mocne korzenie, jak nas o tym przekonują wykopaliska archeologiczne w ruinach starożytnych miast znajdujących się na terenie obecnych Węgier, zwłaszcza w stołecznym Aquincum. Gdy rodzice zmarli, Marcin zdecydował się przenieść do Galii. W drodze zatrzymał się w Mediolanie, który był siedliskiem arianizmu, nawet

sam biskup miasta był heretykiem. Dbając o czystość wiary szybko wszedł w konflikt z arianami, którzy wypędzili Marcina z miasta. Udał się do Poitiers. Został tam serdecznie przyjęty przez biskupa, św. Hilarego. Szybko się porozumieli, gdyż obaj prowadzili intensywne życie duchowe. U Marcina w Poitiers dojrzało przekonanie, że jest powołany do szczególniejszej służby Bogu. Gdy to wyznał św. Hilaremu, ten wydzielił mu w pobliskim Ligugé pustelnię, gdzie zamieszkał z kilkoma towarzyszami. Stało się to w 360 r., dlatego też Marcin jest uważany za ojca i patriarchę życia zakonnego w Galii. Życie pustelnicze oddane Bogu szybko znalazło uznanie pośród mieszkańców Galii. Gdy więc w 371 r. zabrakło biskupa w Tours, lokalny Kościół z uwagi na sławę świętego życia i cudów Marcina zapragnął, aby został ich biskupem. Jednak wydawało się to mało prawdopodobne, gdyż ukochał on bardzo życie odosobnione, pełne pokuty i wyrzeczenia. W tej sytuacji ucieczono się do swoistego podstępny: jeden z mieszczan pojechał do pustelni z prośbą o przyjazd Marcina do miasta i uzdrowienie chorej żony. Gdy ten nie spodziewając się intrygi pojawił się w mieście, jego mieszkańcy siłą przywieźli go do katedry i błagali o przyjęcie godności biskupa. W ten sposób został wybrany przez aklamację. 4 lipca 371 r. otrzymał święcenia kapłańskie i sakrę biskupią. Obowiązki duszpasterskie sprawował z dużą gorliwością przez następnych 25 lat. Wprowadził nowy styl posługi biskupiej, do tej pory jego poprzednicy mieszkali w pałacu przy katedrze i tam przyjmowali wiernych. Marcin natomiast prawie stale był pośród wiernych, wędrując po całej diecezji. Często uczestniczył w synodach, odwiedzał sąsiednich biskupów. Wiemy, że przyjaźnił się z takimi wielkimi osobowościami, jak biskupi: św. Ambroży, św. Wiktoryn czy św. Paulin z Noli.

Znając wartość kielkującego w Kościele zachodnim życia zakonnego, jako ważnej bazy dla ewangelizacji, Marcin założył klasztor w Marmoutier koło Tours, gdzie bardzo chętnie i często przebywał. Rozpoczął ponadto regularne akcje burzenia świątyń i posągów pogańskich oraz wycinania świętych gajów. Dzięki nadzwyczajnej gorliwości w tej akcji, szybko z jego diecezji zniknęły wszystkie ośrodki kultu pogańskiego.

Angażował się też w sprawy polityczne, gdy tego wymagało dobro jego wiernych. Choćby wówczas, gdy w 383 r. zamordowano cesarza Gracjana, jego następca postanowił wymordować wszystkich zwolenników swojego poprzednika, wówczas święty Marcin wybrał się w podróż, aby podjąć interwencję, na skutek której uwięzieni wkrótce zostali uwolnieni.

Bardzo żywo Marcin interesował się sprawami wiary. W sprawie swoich wiernych pojechał również do Trewiru, by w tamtejszym pałacu spotkać się z cesarzem Walentynianem II. Uzyskał posłuchanie, mimo, że cesarzowa, zagorzała arianka mocno się temu sprzeciwiała.

Innym razem wziął udział w synodzie w Bordeaux, który odbył się w 384 r. Na nim potępiono Pryscyliana za jego herezje. W tej sytuacji cesarz Magnus Maksymus

skazał heretyka oraz jego zwolenników na karę śmierci. Marcin ponownie wybrał się do Trewiru, by błagać o łaskę dla skazańców, niestety spóźnił się i wyroki zostały wykonane. Ta mediacja spotkała się z atakiem na Marcina ze strony niechętnych mu biskupów, którzy podnosili argumenty, że broniąc heretyków sprzyja ich naukom. Ostatnim duszpasterskim wydarzeniem, w które zaangażował się św. Marcin było doprowadzenie jesienią 397 r. do zgody między wiernymi z Candes, skonfliktowanymi z tamtejszym duchowieństwem.

Wyczerpany intensywnymi działaniami osiemdziesięcioletni biskup Marcin dojrzał do tego, aby opuścić ten świat i przenieść się do wieczności, zmarł 8 listopada 397 r. W jego pogrzebie wzięło udział wielu biskupów i kapłanów, około 2000 mnichów i mniszek oraz ogromne tłumy wiernych. Ciało zmarłego sprowadzono Loarą z Candes do Tours i pochowano 11 listopada 397 w miejscowej katedrze, która stała się na ponad tysiąc lat miejscem jego rozwijającej się bardzo żywołowo czci należnej świętemu.

Po śmierci Marcina jego osoba została otoczona powszechnym kultem wiernych, najpierw lokalnym w Galii, potem rozszerzonym zarówno na Kościół zachodni (łaciński), jak i Wschodni (prawosławie). Szybko też Marcin stał się jednym z najpopularniejszych świętych Kościoła, apogeum jego kultu przypada na okres średniowiecza. Wspomnienie liturgiczne św. Marcina przypada w Kościele Zachodnim 11 listopada, natomiast we Wschodnim 12 października.

Warto pamiętać, że św. Marcin pozostaje patronem żołnierzy, narodowym patronem Francji, (w średniowieczu) królewskiego rodu francuskich Merowingów, kilku diecezji (w Eisenstadt, Moguncji, Rotterburg i Amiens), miast (Szombathely, Tours, Poznań, Bydgoszcz, Jawor i Opatów), dzieci, hotelarzy, jeźdźców, kawalerii, kapełuszników, kowali, krawców, młynarzy, tkaczy, podróżników, więźniów, właścicieli winnic i żebraków.

W Polsce istnieje wiele świątyń dedykowanych świętemu, na uwagę zasługują przede wszystkim: dawna kaplica zamkowa we Wrocławiu na Ostrowie Tumskim, kościół w Poznaniu, Warszawie czy Krakowie. W ikonografii św. Marcin przedstawiany jest, jako legionista na białym koniu, oddający część swojego płaszcza biedakowi, albo jako biskup. Co ciekawe, dodatkowymi atrybutami świętego są: dzban, gęś, koń, księga, model kościoła (zwłaszcza kościoła dominikanów w Szombathely), dwa psy lub żebrak u jego stóp a także płaszcz rozcięty na pół.

Piotr Stefaniak

WIELKI PONTYFIKAT ŚW. JANA PAWŁA II PO LATACH*

Z wielką radością przyjęliśmy kanonizację Jana Pawła II w dniu 27 kwietnia 2014 roku, naszego Wielkiego Rodaka. Oddajemy Mu hołd za Jego święte życie, za posługę apostołską Kościołowi i światu podczas Wielkiego Pontyfikatu, za utworzenie modlitewnego Centrum Bożego Miłosierdzia w Krakowie-Łagiewnikach. Wyznamy ze świadomością, że jest naszym wielkim Orędownikiem Miłosierdzia Bożego.

Gdy powracamy w przeszłość do osoby księdza Karola Wojtyły, opiekuna lekarzy w Krakowie, jego pracy duszpasterskiej wśród pracowników Służby Zdrowia, odprawiane Msze święte u SS. Felicjanek, a następnie, gdy wspominamy spotkania opłatkowe z Metropolitą Krakowskim, Karolem kardynałem Wojtyłą nieodparcie nasze myśli kierujemy na Jego Wielki Pontyfikat, jako Papieża. O posłudze Kościołowi, Biskupa Rzymu, prawie przez 27 lat, wiele napisano i przedstawiono na filmach i licznych zdjęciach. Jego posługa Apostolska, stała się inspiracją dla współczesnych do szeroko pojętej twórczości literackiej, rzeźbiarskiej, muzycznej i innych. Do tej pory ukazało się wiele utworów muzycznych poświęconych Papieżowi Janowi Pawłowi Wielkiemu, opracowań literackich dotyczących Jego życia (poezje, sceniczne utwory, wspomnienia i świadectwa, modlitewniki...), liczne pomniki Ojca Świętego, a także szlaki papieskie górskie i wodne, które upamiętniają Jego wędrowanie po polskiej, umiłowanej ziemi. Podziwiał i uwielbiał Stwórcę za każde dzieło przyrody, czego wielokrotnie byliśmy świadkami. Promieniowanie świętości wyływało z wielkiej miłości do Boga Stwórcy i do człowieka. Z tego względu w moich rozważaniach pragnę zwrócić uwagę na szczególnie istotne wydarzenie w Pontyfikacie Jana Pawła II na przełomie XX i XXI wieku.

Dopiero po powrocie do pełni posługi papieskiej po zamachu w dniu 13 maja 1981 r. Jan Paweł II w żarliwej modlitwie i kontemplacji podjął decyzję udania się do Fatimy w pierwszą rocznicę cudownego ocalenia i dokonania tam aktu zawierzenia Niepokalanemu Sercu Maryi świata i ludzkości, włączając słowa wypowiedziane w uroczystość Zesłania Ducha Świętego w dniu 7 czerwca 1981 r. Okazało się jednak, że Matka Boża pragnęła, aby takie zawierzenie zostało dokonane przez Ojca Świętego kolegiąlnie z biskupami świata. Dlatego Jan Paweł II zaprosił w Jubileuszowym Roku Odkupienia do Rzymu Patriarchów, Kardynałów i Biskupów z całego świata na dzień 25 marca 1984 r., aby przed figurą M.B. Fatimskiej na Placu św. Piotra ponownie zawierzyć świat i ludzkość Bogu za wstawiennictwem Niepokalanego Serca Maryi. Po odprawieniu Mszy św. i w obecności Ludu Bożego (ponad 150 tysięcy zgromadzonych na Placu św. Piotra) Ojciec Święty, klęcząc przed figurą Matki Boskiej przywiezionej z kaplicy Objawień w Fatimie, z żarliwością i przejęciem modlił się *Aktem*

zawierzenia. Na wstępie głosem pełnym powagi i głębokiego wzruszenia ujawnił potrzebę oddania swego życia na „żertwę” Panu Bogu, słowami: „**O, jak głęboko odczuwamy potrzebę ofiarowania się za ludzkość i za świat, za świat naszych czasów**, (podkreśl. G.T.) w zjednoczeniu z samym Chrystusem! Świat, bowiem musi mieć udział w odkupieńczej ofierze Chrystusa za pośrednictwem Kościoła”. W tym zawierzeniu sam oddał się Bogu, by uchronić ludzkość m. in. przed wojną nuklearną. Tak też się stało.

Ojciec Święty Jan Paweł II wówczas dramatycznie i uroczyście wypowiedział słowa „swoistego egzorcyzmu”, m.in. tak mówił: *O Matko ludzi i ludów (...) Przyjmij nasze wołanie skierowane w Duchu Świętym wprost do Twojego Serca i ogarnij miłością Matki i Służebnicy ten nasz ludzki świat, który Ci zawierzamy i poświęcamy... W szczególności zawierzamy Ci i poświęcamy tych ludzi i te narody, które tego zawierzenia i poświęcenia najbardziej potrzebują...*

W dalszych słowach aktu zawierzenia Ojciec Święty modlił się:

*Od głodu i wojny, **wybaw nas!***

*Od wojny atomowej, od niewyobrażalnego samozniszczenia,
od wszelkich wojen, **wybaw nas!***

*Od grzechów przeciw życiu człowieka od chwili poczęcia, **wybaw nas!***

*Od nienawiści i poniżania godności synów Bożych, **wybaw nas!***

*Od wszelkiej niesprawiedliwości w życiu społecznym, narodowym
i międzynarodowym, **wybaw nas!***

*Od pochopnego deptania przykazań Bożych, **wybaw nas!***

*Od prób zacierania w ludzkich sercach prawdy samego Boga, **wybaw nas!***

*Od utraty świadomości dobra i zła, **wybaw nas!***

*Od grzechów przeciw Duchowi Świętemu, **wybaw nas!***



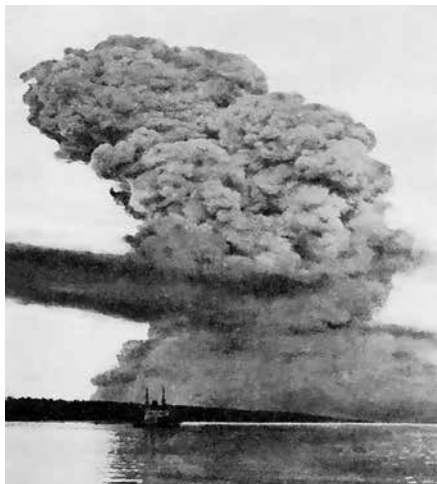
*Jan Paweł II na Placu św. Piotra w Rzymie, w dniu 25 marca 1984 r., z udziałem ok. 150 tys. wiernych, dokonuje przed figurą Matki Boskiej z Fatimy Aktu Zawierzenia świata Niepokalanemu Sercu Maryi.
Foto: Arturo Mari (archiwum GT)*

Przytoczone fragmenty papieskiego zawierzenia składają teraz po latach do szczególnej refleksji, a także do przesłedzenia zaistniałych zdarzeń po jego dokonaniu w 1984 r. Po zawierzeniu swego życia Jan Paweł II stał się żertwą. Od tego czasu Jan Pa-

węł II rozpoczął swą drogę cierpienia. Wyrazem tego było permanentne „nawiedzanie” Polikliniki Agostino Gemellego, a wymiana stawu biodrowego w 1994 r. usposabiała Papieża do poruszania się z trudem, aż do strasznego bólu pod koniec życia. Cierpienie fizyczne dotyczyło także porażenia nerwu w ręce i innych dolegliwości.

Rozważmy, zatem jakie istotne wydarzenia zaistniały po dokonaniu w 1984 r. aktu Zawierzenia Panu Bogu, przez Niepokalane Serce Maryi, świata i ludzkości. Gdy w Kościele obchodzony był Rok Maryjny, ogłoszony przez Ojca Świętego Jana Pawła II, widoczny stał się nieoczekiwany rozpad totalitarnego reżimu, utworzonego podczas rewolucji bolszewickiej. Podpisanie dokumentu o rozpadzie Związku Radzieckiego odbyło się w dniu 8 grudnia 1991 r. w uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP, podczas spotkania w Puszczy Białowieskiej na Białorusi. Pod dokumentem podpisy złożyli: w imieniu Rosji Borys Jelcyn, Białorusi Stanisław Szuszkiewicz i Ukrainy – Leonid Krawczuk. Na ile był to przypadek w ustaleniu tej daty tego nie wiemy? Wiele narodów odzyskało wówczas wolność. W 1989 r. przestał istnieć mur berliński – mur podziału w Europie.

Przyjęte w Dobroci i Miłości Bożej prośby Ojca Świętego doprowadziły do zmian w świecie. Nastąpił rozpad Związku Radzieckiego i tym samym zniknęła groźba konfliktu zbrojnego NATO z siłami Układu Warszawskiego. Według ogłoszonych w 2005 r. planów (podano w TVP za Pułkownikiem Ryszardem Kuklińskim) w



Trwające wiele godzin łańcuchowe eksplozji składowanych pocisków w bazie Floty Północnej rosyjskiej marynarki wojennej w Siewieromorsku w dniu 13 maja 1984 r. źródło: wikipedia.pl



Siewieromorsk – miasto w północnej części Rosji, siła wybuchu w głównym składzie amunicji, doszło do eksplozji 13 maja 1984 r.

źródło: wikipedia.pl

pierwszych dniach wojny atomowej miałyby zginąć ok. 2 miliony Polaków oraz zniszczone ponad 40 miast w naszym kraju. Jan Paweł II świadomy zaistniałych zmian udał się do Fatimy w dniach 12 i 13 maja 1991 r., by podziękować za owoce poświęcenia ludzi i narodów w 1984 r. Papież prosił w Fatmie o opiekę dla Kościoła i ludzkości w nowej sytuacji historycznej Europy. Boża Opatrzność w swym działaniu posługuje się ludźmi i w tym przypadku byli to prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan, Borys Jelcyn, Helmut Kohl i inni. We współczesnej laickiej historii nie podaje się, że „ofiara życia Jana Pawła II” złożona Bogu – Panu historii była przyczyną zaistniałych zmian.

Po tym Akcie Zawierzenia w dniu 25 marca 1984 r., na te pełne troski błaganie, odpowiedź Matki Bożej Fatimskiej była zadziwiająca. W dniu 13 maja 1984 r. w rocznicę Jej pierwszego objawienia w Fatimie, w Siewieromorsku na półwyspie Kolskim, nad Morzem Barentsa, w głównej bazie Floty Północnej rosyjskiej marynarki wojennej, doszło do wybuchu pożaru i łańcuchowych detonacji, doprowadzając do zniszczenia sowieckich magazynów broni balistycznej. Zmniejszyło to znacznie potencjał militarny Związku Radzieckiego. Fakt ten został ujawniony dopiero po latach. Z zebranych, na podstawie danych satelitarnych, relacji przebywających w rejonie zdarzenia podróżnych oraz innych źródeł wynika, że w serii potężnych eksplozji zniszczone zostały wielkie ilości amunicji. Według doniesień, w katastrofie zginęło od 200 do 300 osób, w dużej części członków personelu technicznego, wysyłanych do akcji ratunkowej polegającej na rozbrajaniu i unieszkodliwianiu zagrożonej eksplozją amunicji, wśród wywołanych wybuchami pożarów. Zabiegi te zakończyły się niepowodzeniem, doprowadzając do trwających wiele godzin „łańcuchowych” eksplozji składowanych pocisków, przechowywanych w zbyt wielkich ilościach, zbyt blisko siebie. W wyniku przeprowadzonych badań nie stwierdzono występowania promieniowania radioaktywnego ani żadnych śladów wybuchu atomowego. Zostało zniszczonych 580 rakiet ziemia-powietrze oraz prawie 320 z 400 zdolnych do przenoszenia ładunków nuklearnych pocisków. Flota przestała się liczyć, jako realna siła bojowa. Poziom strat był tak wysoki, że przez następne pół roku sowiecka flota przestała się liczyć, jako realna siła bojowa.

Ojciec Święty Jan Paweł II zdawał sobie sprawę z zagrożeń ludzkości w latach 1982–1984 r. zarówno pod względem militarnym jak i ideologicznym, a także miał pełne zrozumienie Orędzia Maryi z 1917 r. przekazanego dzieciom w Fatimie oraz żądania Matki Boskiej poświęcenia Rosji, gdzie „*błędy wojującego ateizmu*” zagrażały światu. Opóźnienie w wypełnieniu prośby Matki Bożej Fatimskiej sprawiło, że „*błędy Rosji*” przyjęły nowe kształty ideologii zła, przepełnione nie tylko materializmem, ale egoizmem w globalizacji, pogardą dla życia i szerzeniu „*kultury śmierci*” oraz moralnego liberalizmu prowadzącego do zaniku pojęcia grzechu. Pontyfikat Jana Pawła

II wpisał się w karty historii współczesnego zdesakralizowanego świata, cywilizacji bez Boga i negacji wartości chrześcijańskich. Z Bożej inspiracji wyznaczał nowym pokoleniom XXI wieku drogę ku Stwórcy, jako drogę miłości i przebaczenia oraz pojednania z „braćmi odłączonymi” w wierze i wyznawcami innych religii świata.

Nasz Rodak na Stolicy Piotrowej był „Wszeczasów Ambasadorem” Polski. Nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele Polacy, nasz kraj zawdzięczają Janowi Pawłowi II. Przypomnę zdarzenie z 1980 r., kiedy po godz. 23 otrzymał wiadomość ze Stanów Zjednoczonych od prof. Zbigniewa Brzezińskiego, że wojska radzieckie wkraczają do Polski. Okazało się jednak, że długotrwała, nocna modlitwa Ojca Świętego sprawiła, iż tak się nie stało!

Od czasu wyboru kard. Karola Wojtyły na Papieża – Jan Paweł II we wszystkich sanktuariach Maryjnych świata, które nawiedzał w czasie swych licznych pielgrzymek Apostolskich „zawierzał” cały Kościół Matce Chrystusa. Takich zawierzeń było ponad 3 tysiące. Po zamachu na Jego życie, w dniu 13 maja 1981 roku, w modlitwie na Anioł Pański 17 maja 1981, gdy przebaczał zamachowcy Ali Agcy powiedział: „...Zjednoczony z Chrystusem Kapłanem-Ofiarą, składam moje cierpienie w ofierze za Kościół i świat. Tobie Maryjo, powtarzam »Totus Tuus ego sum«! Ojciec Święty powiedział także do swych Kapelanów, że ” przedtem w jego Totus Tuus czegoś brakowało, czuł, że to nie było pełne... Teraz zrozumiał, że brak było tego znaku Krzyża. Bogu dziękuję, że mogłem przelać krew w imię Maryi.”

Z przekazywanych tekstów Orędzia Matki Bożej w roku 1917 i z lat następnych jasno wynikało, że osoba Ojca Świętego wpisana jest w „tajemnicę fatimską”. Jest On wybrany przez Pana Boga do przeprowadzenia świat przez tę tajemnicę. Dziś wiemy, że w Orędziu Matki Bożej jest wezwanie do pokuty i nawrócenia. Z objawień wynikała również (III Tajemnica Fatimska) zapowiedź cierpienia „człowieka w bieli”, a nim był będzie Ojciec Święty Jan Paweł II.



j.w.

źródło: wikipedia.pl

Nauczanie Ojca Świętego w czasie całego Pontyfikatu wyraża się na wielu drogach posługi Namiestnika Chrystusa na ziemi. Z inspiracji Bożej Opatrzności Jan Paweł II przekazywał Biskupom, Kapłanom i wiernym swoją wiarę, nadzieję i miłość. Umacniał w wierze po przez encykliki, konstytucje apostolskie, adhortacje, listy apostolskie, orędzia, przesłania, a także w homiliach i przemówieniach oraz w modlitwie z wiernymi na Anioł Pański i w czasie audiencji

środkowych i duszpasterskich spotkań. Wyliczono, że spisane nauczanie Jana Pawła II zawarte jest na ponad 80 tysięcy stron (A4). Magisterium Ojca Świętego dotyczyło także Bożego Miłosierdzia. Nauczał, że ukryta w Bogu ta tajemnica staje się bliższa, gdy większa jest negacja Boga w ludzkim świecie. Realizowana droga objawień św. Faustyny określają Jana Pawła II, jako Wielkiego Apostoła Bożego Miłosierdzia! Wielki nieskrywany patriotyzm Ks. Karola Wojtyły oraz kontemplacja i przemyślenia dokonanego zapisu skłoniły Ojca Świętego, by podczas swej ostatniej, „pożegnalnej” pielgrzymki apostołskiej do Ojczyzny w 2002 r., której przesłaniem i zawołaniem były słowa: Bóg bogaty w miłosierdzie, wyjaśnił światu, w tym Rodakom, że tą iskrą jest Boże Miłosierdzie! A nie osoba Papieża!

Nasze rozważania o Wielkim Pontyfikacie Jana Pawła II po latach składają przede wszystkim do odnotowania we współczesnej świadomości, jak Bożym człowiekiem była osoba ks. Karola Wojtyły – Papieża. Aby pojąć i przyjąć to świadectwo świętości Jana Pawła należy sięgnąć do Jego szczególnego życia w „Bożej rzeczywistości”. Już, jako Ksiądz Karol Wojtyła obdarzony niezwykłymi talentami umysłu i wrażliwością „swego ducha” okazywał się nam, którzy mieli tę łaskę spędzać z Nim wolne chwile na łonie natury, swój podziw dla stworzonej przez Boga przyrody, dla napotkanego człowieka. Ten podziw jak i wielki hymn uwielbienia Pana Stwórcy możemy odnaleźć w strofach napisanych wierszy, przepięknej i ujmującej poezji, w rozważaniach i modlitwach. Życie Ks. Karola Wojtyły – Papieża Jana Pawła II ukazało nam wszystkim, wierzącym i niewierzącym, że można być sprawiedliwym, dobrym i wrażliwym na ludzi biednych, chorych i opuszczonych, a także obrońcą godności każdego człowieka. Od wczesnych lat życia okazywał swą współpracę z łaską i nieskończoną miłością, jaką obdarza nas Bóg. Jego życie było nieustanną modlitwą oraz bycia przed Bogiem na kolanach w adoracji i trwaniu przy Chrystusie Eucharystycznym. Jan Paweł II swą sumienną, nadludzką pracą służył Kościołowi i światu. Posługa duszpasterska wynikała z „Rzeczywistości Bożej” i zakorzenieniu w Niej. Był charyzmatycznym duszpasterzem, wzorem pokory, a także nadziei, przekraczającej śmierć!

Jak każdy człowiek, Ojciec Święty Jan Paweł II doznawał różnego rodzaju przykrości, ale z miejsca przebaczał i powierzał „sprawę” Panu Bogu. Jego dobroć, a zarazem powściągliwość w ocenach zdarzeń i ludzi okazywała się zawsze po stronie Dobra. W przyjaźni był zawsze wierny i to wierny do końca. Podjął dzieło Światowych Dni Młodzieży, wskazując na młodych, że są nadzieją i przyszłością Kościoła. Wśród wiernych utrwalił świadomość papieżstwa i Kościoła powszechnego. Swą aktywnością misyjną na kontynentach świata „umacniał braci w wierze” i ogłaszał Dobroć i Wszeczmoc Bożą, a nade wszystko, że świętość jest drogą do życia wiecznego.

Ojciec Święty Jan Paweł II ogłosił 14 encyklik, a ostatnią, „niezapisaną XV encyklikę” „*O przejściu do Domu Ojca*”, w zasadzie pisał przez całe swe życie i ukończył w dniu

2 kwietnia 2005 roku. Jej specjalne przesłanie rozpoczęło się w Wielki Piątek, gdy w czasie tradycyjnej Drogi Krzyżowej w Koloseum, sam złożony niemocą z krzyżem w rękę, w łączności z odprawianym nabożeństwem ofiarowywał swe cierpienie wspólnie cierpiącym przed wiekami Chrystusem. W święto Wielkanocy uwielbiał Boga, a swą posługę dla Kościoła i świata w bólu przekazał na „*Urbi et Orbi*”. To przejście do Ojca dokonało się w wigilię święta Bożego Miłosierdzia. Papież ukazał światu, że jest życie wieczne, Boże Miłosierdzie i mieszkanie Ojca w niebie. Była to ewangelizacja dla wiernych i dla wszystkich ludzi, którzy pamiętali o Nim po przez zamach.

Wielką Łaską obdarzył nas Pan Bóg, że Kościół ogłosił światu świętość Wika-rego Chrystusa, Papieża Jana Pawła II z rodu Polaków. Obdarowane zostało nade wszystko pokolenie Ojca Świętego Jana Pawła – Ks. Karola Wojtyły, ówczesnego Metropolity krakowskiego. W przyszłości, następne pokolenia Polaków będą z kart historii dowiadywać się o świętości Jego życia, o heroicznym realizowaniu cnoty wiary, nadziei i miłości, o cierpieniu i przeżytych zamachu na Jego życie już na początku Pontyfikatu oraz posłudze dla Kościoła powszechnego i wielkim cierpieniu Biskupa Rzymu w ostatnim okresie życia

**Wykład wygłoszony w Domu Krakowskiego Towarzystwa Lekarskiego w dniu 25 marca 2015 roku.*

Gabriel Turowski



Jan Paweł II w Kaplicy Objawień w Fatimie w dniu 12 maja 1991 r. w przeddzień 10. rocznicy zamachu, w obecności ponad miliona wiernych, dziękuje Maryi za uratowanie życia i prosi o opiekę dla Kościoła i całej rodziny ludzkiej, w nowej historycznej sytuacji Europy.

Foto: Arturo Mari (archiwum GT)

RÓŻANIEC – MODLITWA PROSTOTY I GŁĘBI

Historia i znaczenie modlitwy różańcowej

Różaniec jest jedną z najbardziej popularnych modlitw na świecie. Sięgają do niej ludzie prości i wykształceni, duchowni i świeccy. Jego forma modlitwy znana jest w innych religiach, ale jako modlitwa maryjna charakterystyczna jest dla katolików.

Do odmawiania różańca wielokrotnie zachęcała Matka Boża w objawieniach: w Lourdes, w La Salette i w Fatimie. Wzywają do niej nieustannie pasterze Kościoła, a szczególnie Ojciec Święty Jan Paweł II: „*Różaniec to moja ulubiona modlitwa! (...) Wspaniała w swej prostocie i głębi. W tej modlitwie powtarzamy po wielokroć słowa, które Dziewica Maryja usłyszała od Archanioła i od swej krewnej Elżbiety. Z tymi słowami łączy się cały Kościół. Na tle słów Zdrowaś Maryjo dusza uzmysławia sobie zasadnicze wydarzenia z życia Jezusa Chrystusa. (...) Modlitwa tak prosta i tak bogata. Z głębi mojego serca zachęcam wszystkich do jej odmawiania.*”

Postać różańca, którą znamy dzisiaj, nie powstała jednorazowo, lecz kształtowała się przez wieki, przechodząc różne etapy.

Od początku chrześcijaństwa wielu wiernych bardzo poważnie traktowało słowa św. Pawła: „*Nieustannie się módlcie*” (1 Tes 5, 17). Odpowiedzią na to wezwanie, szczególnie w środowiskach pustelniczych i zakonnych, były krótkie formuły, wielokrotnie powtarzane, które skupiały myśli i serca na Bogu. Znane są np. świadectwa o pustelniku św. Pawle z Teb (III w.), który starał się odmawiać każdego dnia trzysta razy Ojczy nasz. Do liczenia modlitw używał trzystu kamyczków, które kładł na kolana i stopniowo zrzucał w trakcie modlitwy. Od VI w. używano sznura z paciorkami. Z IX w. pochodzi najstarsze znane świadectwo, które wskazuje na to, że jedną z takich formuł było zaczerpnięte z Ewangelii pozdrowienie anielskie Zdrowaś Maryjo.

Średniowiecze odznaczało się niezwykłym nabożeństwem do Matki Bożej. Wtedy to pojawił się zwyczaj odmawiania 150 Zdrowaś, co było inspirowane Psalterzem, który liczy 150 psalmów. Dlatego mówiono o „psalterzu Maryi”. Od XII w. znany jest już zwyczaj przeplatania modlitwy Zdrowaś Maryjo z Ojczy nasz. Również w średniowieczu, w czasie jednej z wielkich epidemii dżumy, do pozdrowienia anielskiego dodano drugą część: „*Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej.*”

LEGENDA O LENIWYM MŁODZIEŃCU

Nadanie modlitwie nazwy „*różaniec*” nie jest łatwe do wyjaśnienia, choć wiadomo, że to róża jest od bardzo dawna symbolem Matki Bożej. Być może wpływ miał tu istniejący w średniowieczu zwyczaj przyozdabiania głowy wieńcem z kwiatów. Wieniec ten w niektórych językach nazywano „*różańcem*”. Wyjaśnienie może też przynosić

XIII-wieczna legenda, które opowiada o leniwym młodzieńcu. Jedynym dobrem, jakie czynił, było codzienne splatanie wienca, którym przyozdabiał figurę Maryi. Za łaską Bożą wstąpił do zakonu. Nie mógł jednak w klasztorze codziennie zbierać kwiatów na wieniec i już zamierzał opuścić klasztor, gdy pewien stary mnich udzielił mu takiej rady: *„Jeśli chcesz życiem nowym cieszyć Maryję Królową, ze szlachetnych czynów wianek w każdy dzień niech dostanie. Wplataj węń słowa chwały (...), po pięćdziesiąt Zdrowaś Maryjo codziennie będziesz odmawiać. To już będzie cały wieniec, który Ona bardziej ceni niżli lilie, niżli róże”*. Ok. XV w. odmawianie różańca połączono z rozważaniem życia Jezusa i Maryi. Wyodrębniono 15 istotnych momentów z ich życia i powiązano je z dziesiątkami Zdrowaś Maryjo. Tajemnice podzielono na trzy części: radosne, bolesne i chwalebne.

Przez długi czas powstanie różańca kojarzono z postacią św. Dominika, który miał go „otrzymać” od Matki Bożej podczas objawienia. Niewątpliwie św. Dominik i jego bracia, wędrowni kaznodzieje przemierzający świat, ogromnie przyczynili się do rozpowszechnienia tej modlitwy. Także dominikanin, papież Pius V, w 1569 r. osobnym dokumentem nadał różańcowi formę, która przetrwała do naszych czasów, ale, jak widzimy, różaniec rozwijał się stopniowo.

ZASMAKOWAĆ W POZNAWANIU CHRYSYUSA

Najnowszy etap rozwoju różańca to zmiana, którą w wprowadził Jan Paweł II. W 2002 r. ogłosił list apostolski O różańcu świętym. Potwierdził wartość tej modlitwy, zachęcił do jej praktykowania, a przede wszystkim wprowadził nowe tajemnice, nazywając je tajemnicami światła. Obejmują one najważniejsze wydarzenia z okresu publicznej działalności Jezusa, począwszy od chrztu w Jordanie do ustanowienia Eucharystii. Papież umiejscowił te tajemnice pomiędzy tajemnicami radosnymi a bolesnymi. Ta nowość wprowadzona do modlitwy różańcowej jest zarazem wskazówką, że odmawiając różaniec, możemy rozważać także inne wydarzenia z Ewangelii, które pozwolą pełniej ogarnąć w medytacji tajemnicę Chrystusa. Bo taka jest istota różańca, jak to wyraził Jan Paweł II: *„Ma prowadzić ducha do zasmakowania w poznawaniu Chrystusa.”*

Wydawać by się mogło, że różaniec jest modlitwą wyłącznie maryjną. W istocie jednak w jej centrum stoi Chrystus, który nas do końca umiłował. To prawda, że gdy odmawiamy różaniec, Maryja uczy nas odkrywać i rozumieć Boże tajemnice. *„Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu”* (Łk 2,19) – *„wszystkie te sprawy”*, czyli słowa i czyny Jezusa, verba et gesta, które objawiają nam Boga. Modląc się na różańcu, stajemy się jakby naśladowcami Maryi. Ewangelia, stopniowo przenikając naszą świadomość, umacnia naszą wiarę i przybliża do Boga. W różańcu Maryja jest z jednej strony orędowniczką, z drugiej zaś tą, która jako jed-

na z nas doszła do pełnego zjednoczenia z Bogiem i jest potwierdzeniem, gwarancją Bożych obietnic oraz źródłem naszej nadziei – zmierzamy tam, dokąd Ona już doszła.

STRESZCZENIE EWANGELII

Różaniec jest modlitwą dwuwarstwową. Specyficzna technika modlitewna, która polega na powtarzaniu określonych słów, jest przygotowaniem umysłu i serca do rozważania najważniejszych wydarzeń z życia Chrystusa i Jego Matki, stanowiących zarazem dzieje naszego zbawienia. Rytm i melodyka słów w różańcu nieustannie podtrzymują więź z Bogiem, pozwalają w skupieniu rozważać tajemnice, budzą pragnienie głębszej wiary i otwierają na łaskę Bożą. Jan Paweł II w liście O różańcu świętym napisał, że modlitwa ta „*należy do najlepszej i najbardziej wypróbowanej tradycji kontemplacji chrześcijańskiej*”.

Wydarzeń, które rozważamy w różańcu, zwanych tajemnicami, jest po wprowadzeniu tajemnic światła dwadzieścia. Każdemu z nich odpowiada dziesiątka różańca, czyli jedno Ojciec nasz, dziesięć Zdrowaś Maryjo i jedno Chwała Ojcu.

Cztery części różańca są streszczeniem orędzia chrześcijańskiego, mówią bowiem o wcieleniu (cz. I), o królestwie Bożym, które nastąpiło wraz z Chrystusem (cz. II), odkupieniu (cz. III) i wyniesieniu do chwały (cz. IV).

Tajemnice radosne:

1. Zwiastowanie Najświętszej Maryi Pannie
2. Nawiedzenie św. Elżbiety
3. Narodzenie Jezusa
4. Ofiarowanie Jezusa w świątyni jerozolimskiej
5. Odnalezienie Jezusa w świątyni

Tajemnice radosne pomagają stopniowo zgłębiać prawdę, że Syn Boży stał się „*Bogiem z nami*”, że zamieszkał w ludzkiej wspólnocie i stając się bratem każdego człowieka, przyjął na siebie ludzkie ciało i ludzki los.

Tajemnice światła:

1. Chrzt Jezusa w Jordanie
2. Objawienie się Jezusa na weselu w Kanie
3. Głoszenie królestwa Bożego i wzywanie do nawrócenia
4. Przemienienie Jezusa na górze Tabor
5. Ustanowienie Eucharystii

Tajemnice te przedstawiają słowa i znaki Jezusa, który objawia Ojca, Jego hojność, miłosierdzie i miłość, Jego niesłyszana troskę o człowieka. Przez objawienie Ojca i Jego miłości Chrystus ukazuje się jako „*Światłość świata*”, jako ten, który „*rzuca*

światło przez Ewangelię”, a zarazem ogłasza, że wraz z Jego przyjściem nastąpiło już królestwo Boże.

W tajemnicach bolesnych odsłania się pełnia Bożej miłości, która jest silniejsza od całej potęgi zła, od lęku, pogardy i nienawiści.

Tajemnice bolesne:

1. Modlitwa Jezusa w Ogrójcu
2. Biczowanie Jezusa
3. Ukoronowanie cierniem
4. Droga krzyżowa
5. Śmierć Jezusa na krzyżu

Rozpamiętując w modlitwie te wydarzenia, możemy sobie uświadomić, za jaką wielką cenę każdy z nas został wykupiony z niewoli grzechu.

Bóg pragnie, by wszyscy ludzie byli zbawieni i mogli razem z Maryją i ze świętymi cieszyć się życiem wiecznym w chwale. Ten Boży plan, wypełniony już wobec Maryi, rozważamy w tajemnicach chwalebnych:

1. Zmartwychwstanie Jezusa
2. Wniebowstąpienie Jezusa
3. Zesłanie Ducha Świętego
4. Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny
5. Ukoronowanie Maryi na Królową nieba i ziemi.

Wszystkie wydarzenia są potwierdzeniem Bożych obietnic dla nas i zapowiedzią naszej chwały.

o. Cyprian Klabs OP

MYŚLI JANA PAWŁA II O RÓŻAŃCU

„Różaniec to modlitwa, którą bardzo ukochałem. przedziwna modlitwa! przedziwna w swej prostocie i głębi zarazem [...] W dziesiątki różańca serce nasze może wprowadzić wszystkie sprawy, które składają się na życie człowieka, rodziny, narodu.”

Jan Paweł II

„Różaniec to modlitwa, którą bardzo ukochałem. przedziwna modlitwa! przedziwna w swej prostocie i głębi zarazem [...] W dziesiątki różańca serce nasze może wprowadzić wszystkie sprawy, które składają się na życie człowieka, rodziny, narodu.”

Jan Paweł II

KRONIKA POLSKIEJ PARAFII I DOMU POLSKIEGO

PROGRAMY STAŁE

- W każdą pierwszą niedzielę miesiąca w Kościele Polskim jest sprawowana Msza św. dla dzieci z udziałem dziecięcego zespołu „*Kleksiki*”.
- Msza św. w IV dzielnicy Budapesztu w każdą III niedzielę miesiąca.
- W każdą sobotę od godz. 10.00 do 14.00 działa *przedszkole polonijne* w Domu Polskim, prowadzone przez Siostry Misjonarki.
- W każdy wtorek o godz. 19.00 w Domu Polskim odbywają się próby *Chóru św. Kingi*.
- Każdego 13-go miesiąca odprawiane jest *Nabożeństwo Fatimskie* w Kościele, a po nabożeństwie członkowie *Koła Różańcowego* spotykają się w Domu Polskim.
- Raz w miesiącu odbywają się *spotkania seniorów* w Domu Polskim.
- Raz w miesiącu odbywa się spotkanie młodych małżeństw w ramach „*Kościola Domowego*”.

ROK 2016

WRZESIEŃ

18 • Polski Ośrodek Kulturalno-Oświatowy Filia Óhegy u 11, w Domu Polskim w ramach projektu upamiętniającego polskie uchodźstwo w latach 1939-45 zaprezentował album pt. „*Polacy na Kőbányi*”. Data ta jest ważną rocznicą Polaków na Węgrzech, ponieważ właśnie już 18 września 1939 r. pierwsi polscy uchodźcy przekroczyli węgierską granicę, w chwili wkroczenia wojsk radzieckich na tereny Polskie. Podczas tak trudnej próby, jaką była II wojna światowa, Węgrzy i Polacy zdali egzamin z przyjaźni. Bardzo wielu Polaków, którzy znaleźli się na emigracji, zawdzięczało ocalenie właśnie Węgrom, jak również było sporo małżeństw polsko-węgierskich z tego okresu. Oprócz prezentacji albumu zaprezentowaliśmy dalszy ciąg wystawy pod tym samym tytułem, której pierwszą część prezentowaliśmy 28 lutego 2016 r. (pięć paneli). Tym razem były to dwa panele; jeden poświęcony harcerstwu polskiemu, a drugi przedstawiający rodzinę Miernickich, którzy przyjechali z Myślenic na Kőbányę (obecnie jest to X dz. Budapesztu). Brali bardzo aktywny udział w tworzeniu życia polonijnego jak również przy budowie Kościoła Polskiego i Schroniska (obecnie Dom Polski). Cała rodzina pomagała polskim uchodźcom w czasie II wojny światowej. Zaprezentowaliśmy jeszcze odnowiony sztandar Hufca harcerskiego. Jest to złożenie hołdu naszym

przodkom, którzy zapoczątkowali tworzenie się wspólnoty parafialnej, której częścią jesteśmy my i już na innych zasadach, ale staramy się kontynuować ich działalność.

- 24 • Inaugurację 22. Dni Polskiej Kultury Chrześcijańskiej zapoczątkował koncert „*Wiara i rodzina*”. Dni Kultury poświęcone były 1050 rocznicy Chrztu Polski, a mottem przewodnim były słowa wypowiedziane przez kardynała Stefana Wyszyńskiego „*Miłosierdziem budujemy Kościół Boży*”. W koncercie wystąpiła Angelika Korszyńska-Górny, Tomasz Budzyński oraz zespół polonijny „*Kleksiki*”.
- 25 • W niedzielnej Mszy św. przewodniczył ks. biskup Wiesław Lechowicz, Delegat KEP ds. Duszpasterstwa Polskiej Emigracji, który wprowadził nas w tematykę obecnych Dni Kultury. Modlitwę śpiewem ubogacał Chór św. Kingi. Podczas Mszy św. zostały wręczone, medale ks. Wincentego Danko za znaczące działania dla wspólnoty Polskiej Parafii w Budapeszcie. Tym medalem zostali wyróżnieni: Majoros Lajosné Anna, Węgierka, Adam Jagiełło, Polak, oraz Towarzystwo Chrystusowe dla Polonii Zagranicznej, którego członkiem jest nasz proboszcz ks. K. Grzelak. Po Mszy św. w Domu Polskim odbyło się otwarcie wystawy ks. prof. Ryszarda Knapińskiego „*Porta Fidei – Drzwi Płockie*”. Również w Domu Polskim Polonia pożegnała kończącego na Węgrzech swoją misję dyplomatyczną, ambasadora pana Romana Kowalskiego.
- 28 • Spotkanie sióstr i księży polskich pracujących na Węgrzech.

PAŹDZIERNIK

- 02 • Zakończenie 22. Dni Polskiej Kultury Chrześcijańskiej. Po Mszy św. w Domu Polskim wysłuchaliśmy bardzo ciekawego wykładu państwa Jadwigi i Jacka Pulikowskich dotyczącego problemów małżeństwa i rodziny w dzisiejszym świecie.
- 17 • Z inicjatywy Polskiego Ośrodka Kulturalno-Oświatowego w Domu Polskim odbył się wykład dr Imrego Molnára pt. „*1956 rok w Polsce i na Węgrzech*”. Wykład ten zainaugurował cykl uroczystości związanych z 60. rocznicą Rewolucji Węgierskiej 1956.
- 23 • **ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI WĘGIER – ROCZNICA REWOLUCJI.** Jest to święto upamiętniające wybuch powstania węgierskiego 1956 roku. To właśnie 23 października tego roku miała miejsce manifestacja budapeszteńskich studentów wyrażająca poparcie dla polskich robotników w Poznaniu, do której pod pomnikiem Józefa Bema zaczęły dołączać się spontanicznie tłumy mieszkańców stolicy. Manifestacja przerodziła się w

demonstrację o charakterze patriotycznym. Wydarzenia tego dnia rozpoczęły powstanie węgierskie 1956 roku, które trwało do 10 listopada. Podczas Mszy św. modliliśmy się zarówno za Węgrów jak i Polaków, którzy ponieśli śmierć w 1956 roku. Naród węgierski jest bardzo wdzięczny Polakom, którzy w trudnym okresie nieśli pomoc Węgróm, nie tylko duchową, ale również materialną, a jej wartość znacznie przekraczała wielkość pomocy płynącej z całego świata, łącznie z USA, razem wziętej. 26 czerwca 2016 r. przed Kościołem Polskim w Budapeszcie odbyło się odsłonięcie kopijnika upamiętniającego 60. rocznicę wybuchu powstania w Poznaniu i na Węgrzech. Przed tym kopijnikiem złożyliśmy wieńce i modliliśmy się w intencji pomordowanych i represjonowanych Węgrów i Polaków, dając tym samym świadectwo solidarności naszych Narodów.

29–30 • Wycieczka „Śladami św. Marcina”. Grupa parafian wraz z ks. proboszczem Krzysztofem Grzelakiem SChr udała się śladami św. Marcina do Pannonhalmy, Győr i Bratysławy, jako, że ten rok na Węgrzech był ogłoszony Rokiem św. Marcina.

30.09 – 2.10 • Konferencja Polskiej Rady Duszpasterskiej Europy Zachodniej w Poznaniu. Z Węgier wzięli udział ks. Krzysztof Grzelak SChr oraz Katarzyna Takácsné-Kalińska.



Wycieczka „Śladami św. Marcina”

Fot.: Barbara Pál

W NUMERZE

<i>Drodzy Czytelnicy!</i>	1
<i>Wykonawcy koncertu „Wiara i rodzina” – T. Budzyński</i>	2
<i>Angelika Korszyńska-Górny</i>	7
<i>Polska Rada Duszpasterska Europy Zachodniej</i>	16
<i>Wyjazd Świętomarciński</i>	18
<i>Listopadowa opowieść o św. Marcinie</i>	21
<i>Wielki Pontyfikat św. Jana Pawła II po latach</i>	26
<i>Różaniec – modlitwa prostoty i głębi</i>	33
<i>Kronika Polskiej Parafii i Domu Polskiego</i>	37

ODPOWIEDZIALNI WYDAWCY:

- Stowarzyszenie Katolików Polskich na Węgrzech pw. św. Wojciecha
Email: adalbert@dombudapeszt.com
- Polska Parafia Personalna w Budapeszcie
Email: plebaniapl@onet.eu

REDAKCJA:

- ks. Krzysztof Grzelak, proboszcz Polskiej Parafii Personalnej w Budapeszcie
- Małgorzata Soboltyński, email: smalgorzata43@gmail.com
- Molnárné Sagun Monika

ADRES: 1103 Budapest, Óhegy utca 11.

REDAKTOR GRAFICZNY: Dominika Somogyi

DRUKARNIA: Páros Print Bt.



**STOWARZYSZENIE KATOLIKÓW
POLSKICH NA WĘGRZECH
PW. ŚW. WOJCIECHA**

**DOM POLSKI
IM. JANA PAWŁA II**

*Telefon: (+36 1) 262 69 08
www.dombudapeszt.com*

**POLSKA PARAFIA
PERSONALNA I
KOŚCIÓŁ POLSKI
W BUDAPESZCIE**

*Telefon: (+36 1) 431 84 13
www.parafiabudapeszt.republika.pl*

ADRES

1103 Budapest, Óhegy utca 11.

DOJAZD

*Czerwonym metrem (M2) do stacji Puskás Ferenc Stadion
i stamtąd autobusem 95 do przystanku Óhegy Park*



**SENAT
RZECZYSPOLITEJ
POLSKIEJ**



**POMOC
POLAKOM
NA WSCHODZIE**

*„Projekt współfinansowany
w ramach sprawowania
opieki Senatu Rzeczypospolitej
Polskiej nad Polonią i Polakami
za granicą.”*